

LITWO, OJCZYZNO MOJA

ZNAD WILNI



DWUTYGODNIK

Rok II, nr16

Wilno, 22 lipca – 4 sierpnia 1990

cena 30 kop.

CZAS PRZECIWSZTAWIENIA SIĘ STEREOTYPOM

Najczęściej powtarzonymi słowami ostatnio na Litwie były wyrazy *niepodległość, blokada, moratorium*. To ostatnie może oznaczać bardzo ważny etap dla Republiki Litewskiej, która jako pierwsza wyruszyła na nieprzetartą drogę ku pełnej niezawisłości. Wydarzenia rozwijały się w tak zawrotnym tempie, iż ma się wrażenie, że od 11 marca czas można liczyć co najmniej podwójnie. Był to i nadal jest okres prób. Wykazał on, że do wolności jednak trzeba być dobrze przygotowanym, że samej li tylko najbardziej "niezlomnej" postawy nie wystarczy.

Okres ten rozwił wiele mitów, skruszył sporo stereotypów. Przekonaliśmy się, że możemy liczyć tylko na samych siebie. Jeżeli państwa świata popierają nas moralnie, to jednak Zachód jest zainteresowany szerszą współpracą z Litwą tylko w warunkach politycznie ustabilizowanych. Za swój obowiązek o globalnej wadze przyjmuje wszechstronne poparcie dla przeobrażeń w ZSRR. I nic w tym dziwnego - wszak chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa w znacznej części świata. Nikt nie wystąpi z jakąś inwestycją, zanim nie rozwiąże się kryzysu litewskiego, a może i innych. Wszelkie marzenia, że bogate narody świata "rzucą się nam w objęcia" i przyjdą z pomocą, proponując rozległą współpracę, musiały przysnąć.

Musimy porządkować własne podwórko, cementować wysiłek obywateli różnych narodowości, żeby nie utrudniać sobie szlaku, jaki został wytyczony. Bezwzględnie walczyć ze stereotypami, jakie były z góry nam narzucane, lansowanymi "prawdami" historycznymi o naszych narodach.

Najgłębiej takie stereotypy są zakorzenione właśnie w stosunkach narodowościowych. Brak tolerancji przy próbach ich rozwiązania źle wpływa na podjęcie szeregu decyzji. Widać to chociażby na przykładzie Litwy Wschodniej, czyli Wileńszczyzny. Jak wiadomo, niedawno utworzono państwową komisję, która ma zbadać stan rzeczy w rejonie wileńskim. Qdóż w komisji spośród 19 jej członków nie ma ani jednego deputowanego z tego rejonu! Dlaczego nie naradzono się w tej sprawie z szerszą społecznością Wileńszczyzny? Decyzja o jej losach bez większego udziału samych zainteresowanych mino woli przypomina nam lata minione. Również Departament ds. Narodowości mógłby odegrać swoją rolę jako najwłaściwszy me-

diator. Nie byłoby wtedy dystansu do komisji już na starcie jej działalności. (W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że do składu komisji ostatecznie weszło trzech Polaków).

Często błędnie jest rozumiana integracja Wileńszczyzny z resztą Litwy. Wiele osób utożsamia ten proces jako lituanizację za każdą cenę tych ziem, a nie jako stworzenie zupełnie nowego (u nas) modelu stosunków narodowościowych. W krajach o tradycji demokratycznych reguluje je, rzecz można, sama natura, a nie ustawy. Nie podlega wątpliwości, jaki ma być język państwowy. Używanie w różnych sferach życia codziennego innych języków niczym nie ujmuje ważkości podstawowego języka. Dotyczy to również tradycji, jakie pozostały nam w spuściznie po Księstwie Litewskim. W sklepach, punktach turystycznych i usługowych jakże często w wielu krajach spotyka się sympatyczne tabliczki, informujące, że można tam się porozumieć czasem w bardzo egzotycznych dla nas językach.

Rozwój kultury i oświaty polskiej spotyka się jeszcze z obojętnością, jeśli nie z konkretnymi przeszkodami. Polacy mają swe szkoły średnie, lecz nadal nie mogą się doczekać otwarcia chociażby jednego wydziału polonistyki - jak to wcześniej zostało uzgodnione na zasadzie parytetu z Polską - na Uniwersytecie Wileńskim, tak mocno przecież związanego z kulturą polską i europejską. Co więcej, podjęto decyzję przekształcenia Wileńskiego Sowchozu-Technikum w szkołę rolniczą niższego szczebla. Jedyne co trzeba by zmienić w tej placówce, która po polsku szykowała kadre dla potrzeb rolnictwa Wileńszczyzny, to odstraszającą socjalistyczną nazwę i odwrotnie - podnieść poziom nauczania w niej. Żadnej ze szkół nie należy obniżać jej rangi! W czasach wielkich przemian potrzebujemy nie tylko zapaleńców i entuzjastów, ale przede wszystkim profesjonalistów. Podnieść rolniczą kulturę regionu - to zadanie w pierwszej kolejności dla specjalistów stąd pochodzących - gospodarzy tych ziem z dziada pradziada.

Zbyt często kierujemy się jakimś uporem. Nie chcemy szerzej otworzyć oczu na świat, przeciwstawić się szkodliwym stereotypom. Należy wierzyć, że jednak się ich pozbedziemy. Tylko jakim kosztem? Nad tym nie zwlekając warto się zastanowić.

Romuald MIECZKOWSKI



Fot. Jerzy Karpowicz

ZAWSZE TRZEBA IŚĆ DO PRZODU

Z Panią Premier RL Kazimierą Prunskiene rozmawia Romuald Mieczkowski

- Od 11 marca br. Litwa podąży własnym kursem. Jaka najbliższa przyszłość nas oczekuje?

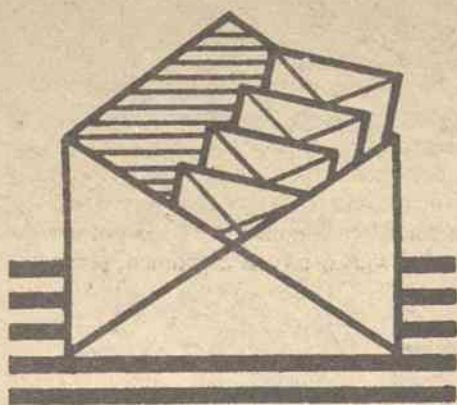
- Naszą perspektywę widzimy wśród wolnych narodów, które zmierzają do Europy bez podziałów i granic, pragną stworzyć i rozwijać zdemilitaryzowaną gospodarkę. Litwa jest za neutralną strefą na swym terytorium. Na razie jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że przez pewien czas będą tu obecne jednostki zbrojne Związku Radzieckiego. Musimy zawrzeć z ZSRR w tej sprawie układ. Chodzi w pierwszej kolejności o unormowanie stosunków z ZSRR. Jest to podstawowa kwestia, fundamentalna dla naszej polityki zagranicznej na dzisiejszym etapie. Do rozmów ze stroną radziecką jesteśmy przygotowani pod względem politycznym, psychologicznym i prawnym. Przygotowaliśmy też niezbędne materiały i projekty umów. Dotyczy to także poszczególnych dziedzin - gospodarki, sił zbroj-

nych, ochrony granic, innych sfer. Problem polega i na tym, z czym stroną radziecką przyjdzie na rozmowy, ile wykaże chęci do dążenia tylko do tego, aby przywrócić Litwie status republiki związkowej. Takie niebezpieczeństwo istnieje.

- Od czego więc będą rozpoczęte rozmowy?

- Właśnie od określenia statusu Litwy jako państwa niepodległego, które chce dojść do porozumienia ze Związkiem Radzieckim, póki on istnieje. Jednocześnie chcemy utrzymać bezpośrednie więzi z jego republikami, przede wszystkim z Rosyjską Federacją, Białorusią i oczywiście republikami bałtyckimi, które dla nas stanowią podmiot jak najściślejszej współpracy politycznej i gospodarczej. Zaczniemy więc od utrwalenia niezawisłości, wyegzekwowania jej przyznania przez Związek Radziecki.

dokończenie na s. 3



Wierzę w dobrosąsiedztwo

"Znad Wilii" czytam od deski - do deski. Bardzo interesujące, wartościowe, a przede wszystkim potrzebne pismo. Teraz żałuję, że jestem dziennikarzem radiowym - chętnie zostałbym Waszym korespondentem! Ale mimo tej "ułamności" cieszyłbym się, gdyby nasze kontakty zacieśniły się i służyły wspólnej sprawie. Z tą myślą przesyłam Litwie - Ojczyźnie naszej moc najlepszych życzeń z głębokim przeświadczeniem, że już wkrótce sąsiadować będziemy ze sobą jako dwa wolne i szczerze zaprzyjaźnione narody.

Adam Wielowieyski
Warszawa

Doskonałą swą polszczyznę

Od pierwszego numeru czytam Wasze pismo, które konsoliduje Polaków i Litwinów. Dzięki artykulom w "Znad Wilii" doskonale także swój język polski. Zespołowi redakcyjnemu życzę wiele twórczych sukcesów.

Saulius Patackas
Kowno

Musimy o tym też mówić

Zawsze popierałam wszystko, co polskie, jak też nasze - wileńskie. Cieszę się z najdrobniejszych osiągnięć, z powstałych i powstających zespołów amatorskich, z przedszkoli polskich. To dobrze, że coraz więcej rodziców postanawia przeprowadzić swoje dzieci z rosyjskich szkół do polskich, stara się uratować swe pociechy w sensie narodowym. Niestety, środowisko, które obserwuję, jest często zagubione w tym życiu. Przykro o tym pisać, ale są to ludzie, których w ogóle mało co obchodzi. Nic prawie nie czytają, a jeżeli tak - to gazety po rosyjsku lub z programem telewizyjnym. Przy spotkaniach mówią o pieniądzu. Często żalą się, że nas, Polaków, krzywdzą, a sami nic nie robią. Na imprezach polskich wciąż te same twarze, tylko na przyjęciach pasywni rodacy nieco się ożywają i dają rady innym, co należy robić. A do sprzątania cmentarzy, remontu siedziby ZPL czy innych konkretnych spraw społecznych ich, oczywiście, nie ma. Bo to truskawki, ziemniaki, podróże mające jeden cel - wzbogacenie się. Gorzka to prawda, ale musimy o tym też mówić - żeby się wreszcie opamiętać.

Stefania Tamulewicz
Wilno

Polskość zaczyna się w domu

"Znad Wilii" czytam od piersego numeru. Po prostu odpowiada moim zainteresowaniom. Dzięki tej gazecie wiele się dowiedziałam o Polakach na Litwie, lepiej poznałam swoje rodzinne miasto. Moim zdaniem robicie dobrą robotę. Niestety, nie do wszystkich to dociera. Wielu uważa, że musicie inaczej "bronić swoich". Wy zaś nawołujecie do zgody. Tymczasem jeśli czegoś się domagać - to od razu wielkich rzeczy: uniwersytetu, teatru zawodowego. Ale zadajmy przy tym pytanie: komu jest dziś potrzebny uniwersytet, skoro nadal uczęszczają do szkół rosyjskich? Kto wypełni widowień wielkiej sali, skoro na wielu ciekawych imprezach jakże często panują pustki? Kto będzie z tych dobrodziejstw polskości korzystać, skoro nawet w domu często się rozmawia po rosyjsku? Owszem takie placówki przydałyby się, ale musimy do nich "dorosnąć".

Alicja Termen
Wilno

● 15 lipca na oficjalne zaproszenie Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej w uroczystościach poświęconych 580 rocznicy bitwy pod Grunwaldem uczestniczyła delegacja z Litwy na czele z Vytautasem Landsbergisem. Ponad dwie godziny rozmawiał on sam na sam z prezydentem Polski Wojciechem Jaruzelskim.

● W rocznicę tej chwalebnej bitwy, w Kownie odsłonięto odbudowany pomnik Witolda Wielkiego. Przed pomnik przybył też "pulk Witoldowy" - urodzeni w 1930 roku Vytautasowie.

● 12 lipca odbyło się uroczyste posiedzenie parlamentu RL z okazji 70 rocznicy Traktatu Pokojowego między Litwą a Rosją.

● Żeby gospodarka Litwy funkcjonowała sprawnie potrzeba 150 mln dolarów. Ponadto rolnictwo potrzebuje 200, a służba zdrowia 40 mln dolarów. Znacznych dewiz potrzebują także inne resorty.

● Na Litwie działają 43 spółki typu "Joint Venture" z udziałem partnerów zagranicznych. Wkrótce zaczną działać jeszcze 15. Spółki prowadzą działalność handlową, produkcyjną, pośredniczą.

● 16 lipca nie pracowało lub przebywało na wcześniejszych urlopiach około 25 tys. osób.

● Z powodu braku cukru nie wyprodukowano setek ton przetworów owocowych i innych wyrobów. Wśród sześciu zakładów, które nie pracują po zawieszeniu blokady, są cztery cukrownie, fabryka pończoch i kombinat meblowy.

● Benzynę można będzie nabyć wyłącznie po cenach komercyjnych. Za litr benzyny 93-oktanowej będziemy płacić 1 rubla.

● W Wilnie przebywał generał Zakonu OO. Karmelitów Bosych o. Filip Sains de Baranda z Hiszpanii w asyście osób mu towarzyszących. Była to pierwsza od przeszło 150 lat wizyta przełożonego tego Zakonu.

● W dzielnicy Lazdynai (Leszczyniaki) wzniesiony zostanie kościół św. Jana z Boscho. Będzie to druga nowa świątynia wileńska po kościele w Wirszuliszkach. Następną planuje się zbudować w przyszłej dzielnicy Gieluże.

● 8 lipca z Lublina do Wilna wyruszyła 150-osobowa grupa pielgrzymów, aby modlić się przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Odległość 550 kilometrów mają oni pokonać w ciągu 21 dni.

● 13 lipca w obchodach 46 rocznicy wyzwolenia Wilna, co zostało uczczone złożeniem kwiatów na Pióromoncie, w Krawczunach i na Rossie oraz Mszą św. w intencji poległych w Kościele Św. Ducha udział wzięła goszcząca na zaproszenie Fundacji Kultury Polskiej na Litwie wicemarszałek Sejmu RP Olga Krzyżanowska, córka Aleksandra Krzyżanowskiego (ps. "Wilk"), dowódcy Wileńskiego Okręgu AK. Spotkała się też z Vytautasem Landsbergisem.

● Według danych Ministerstwa Opieki Społecznej w ub. roku Litwę na swe stałe miejsce zamieszkania obrali 17 tys. osób. z republiki wyjechało natomiast 15 tys. osób.

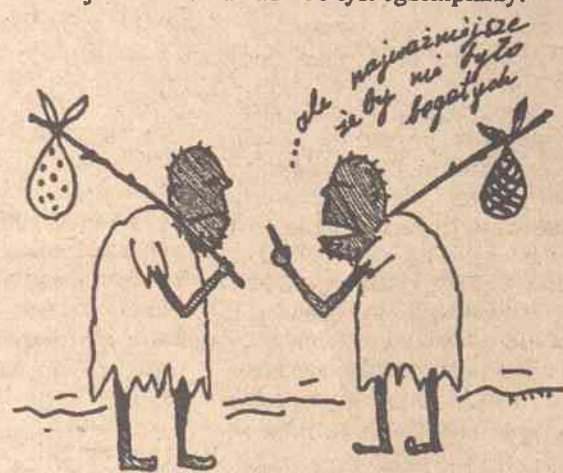
● Światowy Związek Pocztowy z siedzibą w Szwajcarii nie ma nic przeciwko temu, aby funkcjonowały znaczki litewskie, chociaż na razie kwestii członkostwa nie udało się rozwiązać.

● Wysłany 13 kwietnia br. "Nowy Dziennik" wydawany w Nowym Jorku 20 lipca szczęśliwie dotarł do skrytki pocztowej "Znad Wilii". A już mówili, że Ameryka jest bliżej.

● "Miss Litwa-90" została 21 letnia studentka z Kłajpedy. Wśród licznych zaszczytów przypadł jej "Fiat Uno", podróże do Meksyku i Berlina, jak też udział w konkursie "Miss Beauty International", który odbędzie się w Polsce.

● Wileńska kawiarnia "Neringa" zamierza odrodzić czwartkowe koncerty muzyki jazzowej, które przed laty cieszyły się wielką popularnością.

● "Czerwonooki teleskop" - taki tytuł będzie nosiła antologia wierszy poetów polskich mieszkających na Litwie. Zbiór ukaze się w przyszłym roku po rosyjsku w moskiewskim wydawnictwie "Sowietskij Pisatel". Nakład - 10 tys. egzemplarzy.



UWAGA, KONKURS

Co roku w Wąglanach w województwie piotrkowskim odbywa się Ogólnopolski Konkurs Poezji "Szukamy talentów wsi". Organizatorzy zapraszają do wzięcia udziału również poetów, mieszkających poza Polską. Szczególnie jest to dobra okazja dla twórców młodych i niekoniecznie mieszkających na wsi. Zresztą dla gości konkursu nie ma też ograniczeń wiekowych. Należy nadesłać do 30 listopada br. 3 wiersze w 3 egzemplarzach na następujący adres:

Waldemar Józwick
Wąglany 50
26 - 307 BIAŁACZÓW
woj. piotrkowskie
Towarzystwo Przyjaciół Wąglan

Na najlepszych czekają atrakcyjne nagrody i wyróżnienia. Ta impreza jest przeprowadzana od 1983 roku, a w konkursach udział wzięło ponad 1,5 tys. (niektórzy po kilka razy) poetów. Niedawno została wydana ponad 400-stronicowa antologia "Wąglany po zniwach w poezji", będąca zbiorem utworów nagrodzonych w różnych latach autorów. Znalazły się tam m. in. wiersze Łucji Bukowskiej z Miedziuk i Romualda Mieczkowskiego. Inicjatorem tej imprezy jest energiczny działacz z Wąglan Waldemar Józwick, który zaprasza poprzez nasze pismo miłośników poezji z Litwy do uczestnictwa w konkursie.

SPROSTOWANIE

Chochlik (komputerowy) w artykule wstępnym ("Znad Wilii", nr 15) przez dodanie zera dziesięciokrotnie zwiększył udział wojowników w bitwie pod Grunwaldem. Według różnych danych ich liczba wyniosła ponad 40 tysięcy po obu stronach. Czytelników przepraszamy.

Redakcja

PRENUMERATA

Chętnych do zaprenumerowania naszego dwutygodnika informujemy, że prenumeratę można załatwić poczynając od sierpnia br. Koszty prenumeraty do końca tego roku wynoszą 3 rb., na 3 miesiące - 1.80.

Na rok 1991 prenumerata będzie nieco droższa: półroczna - 6 rb. 50 kop., roczna - 13 rb. Zaprenumerować można na dowolny okres (obliczając koszt od pojedynczego numeru w tym roku - 30 kop., od 1991 r. - po 50 kop.).

Nasz indeks 67249.

Prenumeraty się dokonuje na ogólnych zasadach we wszystkich urzędach pocztowych Litwy i ZSRR.

Jednocześnie informujemy prenumeratorów za granicą, że prenumerata roczna kosztuje US 30, półroczna - 15. Czeki personalne lub money-ordery należy przesyłać pod adresem:

c/o Neal ASCHERSON
account Nr 70127116
Barclay's Bank
146 City Road
London E.C.1

Great Britain
jednocześnie powiadamiając redakcję "Znad Wilii": 232019 Vilnius P.O. Box 1755, Lithuania.

ZAWSZE TRZEBA IŚĆ DO PRZODU

Dokończenie ze s. 1

- Wśród wielkiej ilości innych zagadnień na czołowe miejsce wysuwają się powiązania gospodarcze.

- Czekają nas długie debaty na ten temat. Przygotowujemy się do wprowadzenia stosunków rynkowych, jesteśmy za bezpośrednimi związkami. Z drugiej strony chcielibyśmy aktywizować inwestycje z Zachodu, nawiązać dobre kontakty w basenie Morza Bałtyckiego, wykorzystać bliskość rozwiniętych krajów Europy Północnej. Litwa leży w bardzo dogodnym miejscu - na skrzyżowaniu dróg ze wszystkich stron kontynentu. To sprzyja wprowadzeniu gospodarki wolnorynkowej. Możemy aktywnie rozwijać nasze stosunki nie tylko ze Wschodem, lecz i z Zachodem. Takie usytuowanie pozwala zachęcić poważnych partnerów do prowadzenia interesów u nas. Z kolei rynek wschodniego naszego sąsiada posiada nienasycone wprost możliwości - znów pod warunkiem pomyslnego uregulowania kwestii politycznych. Niestety, jeszcze nie wiemy, jakie przesłanki są potrzebne do prowadzenia współpracy gospodarczej nowego typu. Jasne jest jedno, że kryją one w sobie bardzo wielki potencjał wzajemnie owocnej współpracy.

- Wolny rynek charakterystyczny jest dla gospodarki kapitalistycznej, tak niedawno krytykowanej u nas. Niezbadane są jego następstwa w postkomunistycznych warunkach. Czy państwo zamierza zachować jakieś formy ochrony socjalnej wyniesione z doświadczeń budownictwa jedyne "sprawiedliwego ustroju"?

- Myślę, iż pojęcie kapitalizmu w "czystej postaci" jest błędne. Coś takiego nie istnieje. Biorąc pod uwagę ludzką mentalność, tradycje i cały stan posiadania możemy stwierdzić, że stać nas na stworzenie gospodarki rynkowej z "umiarkowanym" mechanizmem państwowej regulacji i o znacznym ukierunkowaniu socjalnym. Wiadomo, przy narodzinach takiej gospodarki sporo ludzi będzie potrzebowało ochrony socjalnej. Ta opiekuńcza rola państwa z czasem będzie się zmniejszać - aż do minimalnych rozmiarów, lecz wystarczających, żeby zaktywizować rynek. Gwarancje socjalne zapewnią skromny poziom życia.

- Powróćmy do negocjacji pomiędzy delegacjami Litwy i ZSRR. Jakie oznaki ich bliskości są odczuwane?

- Po prostu są częstsze kontakty ze strony Kremla, telefony od Michaiła Gorbaczowa. Przeżywamy niezmiernie trudny okres w naszym samostanowieniu. Również na Litwie mamy dużo pytań, dotyczących przyszłych rokowań. Dlaczego utworzyliśmy delegację, a nie komisję, dlaczego w jej składzie "nie widać ludzi, którzy mogliby dyskutować z Nikołajem Ryżkowem" itp. Dlaczego też Vytautas Landsbergis nie wyraził chęci uczestniczenia w posiedzeniach Rady Prezydencjonalnej i Rady Federacji, na których omawia się kwestie współpracy i wdrażania reform w ZSRR. Gorbaczow zaprosił nas obojgu z przewodniczącym Rady Najwyższej Litwy, zapewniając, iż po naradzie przyjmie nas także oddzielnie. Poprosiłam Landsbergisa pomyśleć o tym. Może powstać pytanie, dlaczego też przywódca radziecki zatelefonował w tej sprawie właśnie do mnie? Otóż wiedząc, że prof. Landsbergis na pewno odmówi, Gorbaczow starał się z moją pomocą wpłynąć na przewodniczącego, aby ten przybył do Moskwy. Wiele spraw, które przekazał mi Gorbaczow, nie należy do przyjemnych ani obiecujących. Nie oznacza to jednak, iż ich nie należy wyjaśniać.

- W negocjacjach zapewne nie uniknie się także omówienia nieporozumień wynikających ze stosunków narodowościowych, które rzutują na wszystkie dziedziny naszego życia. Zresztą, jeśli się przyjrzymy innym odradzającym się krajom Europy Środkowej, to obserwujemy bardzo emocjonalne podejście do tych

Z Panią Premier RL Kazimierą Prunskienė rozmawia Romuald Mieczkowski

spraw. Na Litwie to także wciąż nie rozwiązany problem...

- Kierujemy się zasadami demokracji. Oznacza to gwarancje nie tylko dla socjalnych, lecz i obywatelskich praw dla wszystkich. Ci, którzy nie przyjmą obywatelstwa litewskiego, będą na równi z nich korzystać. Chyba, że to dotyczyć będzie wyborów, w jakich - rzecz jasna - nie może uczestniczyć obywatel ZSRR zamieszkały na Litwie. Będziemy unikać sytuacji konfliktowych, zwłaszcza że republika ma tradycje wielonarodowościowe. Napięcie, które się pojawia, pochodzi z braku zrozumienia siebie, uświadomienia sedna niektórych spraw. Wynika to z naszej spuścizny okupacyjnej, podsycanej przez nie tak duże grono ludzi, którzy przejęli na siebie funkcje "starszego brata".

- Należy przypuszczać, że wśród licznych podróży Pani Premier, krótka wizyta w Polsce znalazła się nieprzypadkowo. Polaków litewskich interesują wyniki spotkania w Warszawie.

- Przede wszystkim stwierdziłbym, że obydwa państwa pragną dobrosąsiedzkich stosunków, nie widzą przyczyn nieporozumień, nie wysuwają żadnych roszczeń terytorialnych. Część problemów zależy nie od nas i związana jest z naszą wspólną granicą. Będziemy dążyć do tego, by ta granica stała się polsko-litewską, nie zaś Polski ze Związkiem Radzieckim. Oczywiście, tego problemu nie da się rozwiązać bez ZSRR. Nie możemy zdobyć jej szturmem, jak to niektórzy sobie wyobrażają. Są przecież i tacy, którzy uważają, że skoro ogłosiliśmy niepodległość, to musimy być nieugięci. Ci, którzy mówią o konieczności rozmów, według nich są "zdrajcami". Jest to niezwykle naiwny punkt widzenia. Cudzego wojska także nie wycofamy siłą. Kontrola Związku Radzieckiego istnieje realnie. Możemy jedynie dopiąć tego, aby Związek Radziecki na obecnym etapie występował, powiedzmy, jako "strona trzecia", zanim nie utworzymy prawdziwej granicy polsko-litewskiej. Należałoby nie zwlekając zwiększyć jej przepustowość, budując nowy punkt graniczny nieopodal Kalwarii, przekładając bezpośrednio kolejowe. W ten sposób znacznie powiększymy swe możliwości transportowe. O tym też była mowa w czasie mojego pobytu w Polsce. Jak szybko uda się to zrealizować, zależy także również od rozmów z ZSRR. Wówczas też Polska będzie mogła wypowiedzieć bardziej zdecydowanie swe zdanie. Jest ona na razie także skrepowana złożoną sytuacją polityczną i dlatego nie może podjąć jakichś praktycznych działań.

- Nowych form ostatnio nabiera polsko-litewska współpraca gospodarcza.

- Rozpoczęła się ona wcześniej. Niedawno swe oferty w Litewskim Ośrodku Wystawowym przedstawiło Polskie Spółdzielcze Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego "Coopexim". Swymi ofertami wymieniły się odpowiednie departamenty, zajmujące się gospodarką. Coraz więcej przyjeżdżają Polacy na Litwę ludzi interesu. W czasie blokady podjęliśmy kilka decyzji, ale to dopiero początek. Są poważne plany współpracy w dziedzinie telekomunikacji - poprzez Polskę moglibyśmy wyjść w szeroki świat. Ciekawie przedstawia się projekt uczestnictwa w budowie autostrady Warszawa - Helsinki. Słowem, propozycji godnych uwagi jest sporo.

- Można spotkać takie stwierdzenia wśród Litwinów, że Polacy interesują się Litwą tylko dlatego, iż mieszkają tu ich rodacy oraz ze względu na wspólną historię. Zapewne zgodzi się Pani ze mną, iż w biznesie nie ma miejsca na sentymenty.

- Jak najbardziej. Pomijając sprawy gospodarcze, o których mówiłam, zaznaczę,

że działają tu czasem też inne względy, natury ludzkiej. Nas interesują warunki, w jakich żyją polscy Litwini, a Polacy troszczą się o swych rodaków u nas. Jest naturalne, że jeśli rozwiążemy ostatecznie problemy narodowościowe, jeśli nie będzie pretensji terytorialnych - automatycznie odpadnie porozumienia z Wileńszczyzną. Litewscy Polacy nie są wcale gorsi od swych rodaków w Polsce. Po prostu żyją w innym państwie, uznają jego ustawodawstwo i dzięki temu mogą realizować swe potrzeby w dziedzinie kultury, oświaty, opieki socjalnej. Na razie jednak poziom wykorzystania tych możliwości jest niezadowalający. Wpływają na to i ogólnorepublikańskie trudności. Wszystkie problemy, których nie udało się rozwiązać, niepotrzebnie ciążyą na stosunkach polsko-litewskich. W tej sytuacji obydwie strony, kierując się dobrą wolą, powinny znaleźć rozsądne wyjście. Strona litewska, która jest silniejsza, powinna wyjść naprzeciw. Dlatego właśnie powstają programy działania na terenach Litwy Południowo-Wschodniej. Staramy się zbadać i wyjaśnić potrzeby Polaków. Przyczynić się do wyrównania poziomu gospodarczego, pomóc naszym współmieszkańcom w realizacji ich potrzeb kulturalno-narodowych. Dopiero teraz powstaje wiele nowych możliwości, jakich dotychczas nie było. Uważam, że należy wszystkie propozycje, będziemy szukać dodatkowych środków finansowych, sprawniej podchodzić do tego zagadnienia organizacyjnie.

- Niestety, jak na razie, jeśli chodzi o potrzeby moich rodaków, zarzutów wciąż przybywa.

- Aby im jakoś zaradzić, będziemy także współpracować w trybie roboczym z Polską. Na przykład, w związku ze studiami, w tym Polaków z Wileńszczyzny w Polsce. Zwłaszcza, że wielu kierunków po prostu nie mamy. Możemy także zapraszać wykładowców stamtąd na uniwersytet i inne uczelnie. Dotyczyłoby to dziedzin humanistycznych. Myślę, że znajdzie się niemało i Litwinów, którzy z przyjemnością zechcą uczęszczać na takie wykłady, choć zajęcia będą przeznaczone dla miejscowych Polaków. Jedną sprawą to wynieść język ojczysty ze szkoły, druga - zgłębić jego ogólną kulturę poprzez obcowanie. Niewątpliwie, to także przyczyni się do poprawy poziomu aktywnej polszczyzny na Litwie. Jest to znowuż sprawa nie wymagająca większego zachodu. Ponadto należy rozwiązać problem kształcenia księży. Jest propozycja kierować ich tu z Polski. Nie myślę, żeby to było słuszne. Będą to jednak księża polscy, nie bardzo znający realia litewskie. Lepiej już teraz, wykorzystując stypendia i inne możliwości, wysyłać stąd chętnych na takie studia do Polski. Także do innych krajów. Zależy nam na wykształceniu katolickiej profesury, pozyskaniu wyższego duchowieństwa.

- Wszystko to pozostaje jednak w sferze projektów. Rozumiem, że wielu problemów nie da się rozwiązać w ciągu krótkiego czasu. Znikłoby wiele animozji, gdyby konkretniej do nich podchodzono.

- To prawda, że zbyt często dyskutujemy na tematy dość abstrakcyjne zamiast tego, żeby podejmować konkretne decyzje. Coś jednak się robi. Obecnie formujemy grupę wybierających się właśnie na studia. Znalazło się w niej więcej Polaków, niż procentowo musiałoby trafić. Sama proponowałam przewodniczącemu Rady Samorządu Rejonu Wileńskiego panu Anicetowi Brodawskiemu, żeby przedstawił kandydaturę ze swego rejonu. Jestem przekonana, że sprawa studiów w Polsce, która wypłynęła także w czasie mojej wizyty w tym kraju, da wiele korzyści Litwie.

Oczywiście, do takich grup będziemy włączać studentów różnych narodowości, dawać pierwszeństwo młodzieży z mniej zaможnych rodzin, sierotom. Doskonale rozumiem ważkość tych zagadnień, ponieważ nie jestem "stuprocentową" Litwinką - mój dziadek był Polakiem, część mojej rodziny zamieszkałej w Brazylii rozmawia do dzisiaj po polsku. Przy rozwiązaniu kwestii narodowościowych pójdźmy nam łatwiej, jeśli nie będziemy wykazywać agresywnej postawy. Z pozycji siły dziś niczego się nie zdobędzie. Zrozumiała to nawet Moskwa. Jest dużo takich również wśród działaczy, którzy do delikatnych problemów podchodzą mechanicznie. Mówią: przecież podjęliśmy uchwałę, a sprawa wciąż jest nie rozwiązana. Cóż to, żyjemy w stalinowskich czasach, żeby tak ustosunkowywać się do złożonych kwestii narodowościowych? Usprawiedliwianie się, że inny rząd wcześniej czegoś nie wykonał, nic nie da.

- Obserwacja uczy, że w krajach gospodarczo rozwiniętych problemy narodowościowe nie mają źródeł konfliktu. Wydaje się, że gdyby ludzie u nas żyli lepiej pod względem materialnym, wiele nieporozumień nie miałoby miejsca.

- Tak. Zależy to również od kultury produkcyjnej. My, niestety, mamy szereg problemów w zakładach pracy, szczególnie w terenie. Polacy skarżą się, że są bezpodstawnie zwalniani z pracy, podobnie Litwini w rejonach podwileńskich. Te lokalne incydenty jakże często prowadzą do "ślepego załupka", gdyż wówczas szerszy ogół zaczyna kierować się zasadą oko za oko, ząb za ząb... Nie wolno dopuszczać do takich sytuacji. Wszyscy pamiętać musimy, że mieszkamy przede wszystkim na Litwie bez względu na to, jakiej jesteśmy narodowości i w jakim rejonie. Jeśli rozpoczniemy migrację ludności z jednego rejonu do drugiego, kierując się ignorancją - naprawdę daleko nie zajdziemy.

- Miejmy nadzieję, że do takich wymuszonych migracji nie dojdzie. Jedną z przyczyn tego problemu jest proklamowanie języka litewskiego jako jedyne państwowego na terenach zwarcie zamieszkałych przez nie-Litwinów.

- Uważam, że każdy język może mieć swój status lokalny, jeśli jest taka konieczność. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy w "polskim rejonie" używali podwójnej pisowni - po litewsku i po polsku. Wcale jednak nie jest konieczna tu obecność języka rosyjskiego, który jakże często pełni tu rolę podstawowego. Jeśli to tak pozostawić, to z jednakowym powodzeniem można przejść do używania, na przykład, języka angielskiego. Owa smutna przeszłość sprawiła, że jesteśmy uczuleni nie tylko na ten narzucony nam język, lecz i na wszystko, co przyszło ze Wschodu. Czasami jesteśmy przesadnie wrażliwi. Uważam, że obecność w jakimś państwie mniejszości narodowych pomaga rozwiązać iluzje, że naród rdzenny jest "najlepszy", pomaga uczyć się poszanowania innych tolerancji. Uważam, że możemy poprawnie budować nasze stosunki narodowościowe.

- Jest Pani optymistką. Jaki znak Zodiaku przyświeca Pierwszej Damie litewskiego rządu?

- Ryby. Jesteśmy z Gorbaczowem spod tego samego znaku. Może dlatego też obcować nam ze sobą jest łatwiej? Tu i intuicja pomaga, choć tego jest za mało, żeby rozwikłać problemy historycznej wagi. Jestem zwolenniczką zdecydowanego działania. Nie wiem, czy to źle, czy dobrze, ale to mi w życiu pomogło. Nie potrafię niczym usprawiedliwić braku działania. Zawsze trzeba iść do przodu.

- Życzę powodzenia i dziękuję za poświęcenie mi swego cennego czasu.

ZNAD WILII
22.07 - 04.08 1990 3

SŁAWOMIR WOROTYŃSKI

Zbigniew Żakiewicz

Urodził się 20 stycznia 1942 roku, w trzecim roku wielkiej wojny, gdy Wilno znajdowało się w rękach niemieckich. Do akcji "Ostra Brama" było jeszcze ponad dwa lata. Ojciec - Kazimierz, urodzony w Brześciu, miał wówczas 41 lat, kochał on muzykę, malarstwo, sam sporo rysował (później, w czasach radzieckich był kierownikiem Klubu Kolejarza w Nowej Wilejce pod Wilnem), matka - Maria, rodem z Kowna kończyła 35 lat. Po wojnie również pracowała w Klubie Kolejarza jako bibliotekarka.

Za parę lat, większość rówieśników Worotyńskiego trzy lub czterolatki, w wagonach towarowych opuszczało Wilno, aby w Olsztynie, Gdańsku, Słupsku i Bóg wie gdzie jeszcze zakorzeniać się na tej terra incognita, świadomości mitologii rodzinnej, bo rodzice ich już na zawsze pozostali w swej świadomości wygnañcami z Edenu. Dalsze losy przyszłego poety zależały więc od decyzji rodziców, może od zbiegu okoliczności. Worotyński nie był tu wyjątkiem, jak całe pokolenie dzieci wojny zamieszkujące Kresy mieliśmy, jak w bylinie rosyjskiej przed sobą trzy drogi i nie wiadomo, która była gorsza: wywózka na Wschód, repatriację do nieznanej, obcej Polski, pozostanie w radzieckiej Litwie.

Rodzice Worotyńskiego nigdzie się nie ruszyli. Lecz byli pewni swej polskości i w jakimś sensie należeli do inteligencji. Córka - Alina Izabella została polonistką w polskiej "dziesięciolatce", syn Sławomir - jednym z najwybitniejszych polskich poetów, litewskiego już i radzieckiego Wilna. Niestety, nie miałem okazji spotkać się z Worotyńskim, chociaż za jego życia odwiedzałem miasto mojego urodzenia i miasto podań rodzinnych, bo na Wileńszczyźnie wszystkie drogi prowadziły do Wilna. Byłem "tutejszy" od wielu pokoleń zarówno ze strony ojca jak i matki. Kierowany więc duchem pobratymstwa i niejako utożsamiając się z tym losem, który i mnie mógł przyspaść w udziale, spróbuję wczuć się w dramat tego tragicznego życia.

Nadejście chwila, gdy o Worotyńskim napiszą jego wileńscy przyjaciele, mnie przypadła rola przewodnika po ziemi nieznanej. Wszystkie dane dotyczące biografii Sławomira Worotyńskiego zawdzięczam jego przyjacielowi, o wiele młodszemu poecie, Henrykowi Mażulowi. On też udostępnił mi teksty prawie nieznanymi w Polsce (częściowo w ogóle nie drukowanych) wierszy poety, pozwolił wykorzystać dwa ostatnie, tragiczne w swej wymowie, listy Worotyńskiego. W nadziei, że wreszcie ktoś zainteresuje się dwudziestoletnim dorobkiem poetyckim i wyda wiersze największego po wojnie wileńskiego poety, który urodził się i tworzył w Wilnie.

Czy dla Worotyńskiego, jak dla Miłosza, Wilno było "miastem bez imienia"? Jest to pytanie bezzasadne, bo przecież Worotyński nie mógł się wyrzec swej biografii, a ta w całości była związana z Wilnem. Tu się urodził, tu upłynęła jego młodość, tu się ożenił, pisał wiersze, kochał i cierpiał. Nie mógł więc powtórzyć za Miłoszem: "Nie mam w sobie przyjaciela - czas mnie na dwoje rozdziela". Tę podwójność odczuwamy my, którzyśmy stamtąd wyjechali. Po ostatnim pobycie w Wilnie, napisałem: "Nie ma tamtego miasta, tamtego kraju i tamtego czasu. Cała esencja kresowej polskości spłynęła na Zachód i rozproszyła się po świecie. Miasto jest niczym muszla po wymartym, egzotycznym zwierzęciu: opuszczone wnętrze wypełnia jakaś miazga, która, być może, wrośnie w opuszczoną skorupę nowego ciała. Ale dalej, dla Związku Radzieckiego, będzie to muszla z innych mórz i oceanów".

Pisząc te słowa wiedziałem przecież o Worotyńskim, o Mażulu, o ks. Aleksandrze czy o zespole "Wilia". Niestety, oni są tylko enklawą, która zaczyna się nazywać "wileńską Polonią". Są oni strażnikami przeszłości.

Worotyński nie był więc człowiekiem "dwóch biografii", ze wzrostem świadomości twórczej potęgowało się jednak w nim uczucie człowieka żyjącego w świecie po wielkiej katastrofie. Czy dawał temu bezpośredni wyraz? Worotyński jakby omijał tę podstawową kwestię (dopiero pod koniec życia napisał dramatyczny wiersz: "Nad grobem Marii Puttkamerowej"). W poezji swojej powracał do snów i mitów swego narodu, a te były związane z Romantyzmem i Wieszczem. Worotyński jest romantyczny, a nawet sentymentalny, gdy wielokrotnie powraca do Bolcienik, do Maryli i Adama. Ponadto Worotyński nie miał zacięcia poety politycznego, twórcy żywiącego się materia rzeczywistości społecznej. Był urodzonym lirikiem. Trzeba więc uważnie przysłuchać się melodyce jego wierszy, aby usłyszeć ów głęboki dysonans, jaki wniosła historia.

Z czasem w poezji Worotyńskiego narasta poczucie tragizmu, z coraz większą natrętnością, wręcz z obsesją, powraca motyw Thanatosa i śmierci poety. A przecież z samego temperamentu poeta był daleki od nurtu polskiej poezji barokowej. Kochał on życie we wszystkich jego przejawach. Jak wszyscy poeci Kresowi współistniał z przyrodą: chętnie pisał o konwaliach, starych drzewach (ulubiony motyw), zbieraniu poziomek i marcowym śniegu. Krajobrazy ojczystej ziemi oraz miejskiego krajobrazu ukochanego Wilna, z nieodłączną Wileńką, należą do najpiękniejszych jego liryk. Największym patronem Worotyńskiego był Mickiewicz i jemu też poświęcił kilka wspaniałych wierszy, czuje się obecność muzy Puszkina i, rzecz znamiona, poeta wyraźnie był zauroczony poezją mistrza Kon-



stantego, który przez parę lat zamieszkiwał nad Wi-

lenką na Zarzeczu. Stąd motywy muzyczne i J.S.Bach, księżycy i echa filozofii życiowej poety-waganta, nuta ironii i dowcipu. W okresie dojrzałości twórczej Worotyński odkrywa poezję Wojaczka. Ten jeden z pierwszych wielkich bluźnierców w poezji polskiej, dojrzewający w świecie totalnych układów, poraził Worotyńskiego, nie tylko swą twórczością. Legenda życia Wojaczka zdawała się przystawać do legendy, jaką z czasem począł wokół siebie stwarzać Worotyński. Była też żywa tradycja jesieninowskiego tragizmu.

Czy rzeczywiście Worotyński musiał wymyślać swoje nieszczęście, swoje nieprzystosowanie, swój bunt? Czy musiał stwarzać swoją legendę? Ona się sama stwarzała. Im bardziej świadomym swego powołania stawał się poeta, tym bardziej dojmujące było uczucie osamotnienia i drugorzędności. Lata jego dojrzałości to epoka "breżniewowskiego zastoju", jak się dziś ładnie określa. Epoka ta poetów żyjących w Moskwie, Kijowie, czy Leningradzie wiodła do nihilistycznego buntu lub zniechęcenia. Tragiczna gwiazda Jesienina, Majakowskiego świeciła nad poetami, jako gwiazda przewodnia, przywodząc do samobójstw lub "zapojki" na śmierć.

Dramat Worotyńskiego był podwójny, osamotnienie większe. Był polskim poetą w Wilnie, ojczyźnie wielkiej poezji polskiej, lecz nie było już ani polskiego uniwersytetu, polskiej inteligencji, prasy i wydawnictw. Jak tworzyć, gdy nie ma możliwości przyjrzenia się sobie, sprawdzenia w druku? Pozostał jedynie "Czerwony Sztandar" - wtedy organ litewskich komunistów wydawany w języku polskim. Polszczyzna tej gazety stała się przysłowiowa z uwagi na przedziwny żargon, nagminne rusycyzmy. W gazecie tej Worotyński debiutował w 1961 roku, wierszem bardzo na czasie, bo poświęconym Kubie. W gazecie tej wydrukował też Worotyński większość swych opublikowanych dotychczas wierszy. Pisywał też krótkie opowiadania, przypowieści, bajki dla dzieci. Początkowo pisywał również w języku rosyjskim, drukując się w "Komsomolskiej Prawdzie". Zaczął wysyłać swe utwory do Polski, drukował je niezawodny "Radar", "Nowa Wieś" i "Przyroda Polska". Jak widzimy, traktowano go na równi z poetami z Korespondencyjnych Klubów Młodych.

Jeśli wielcy wileńscy poprzednicy Worotyńskiego należeli do elity, to Worotyński niejako symbolizował dzisiejszą kondycję społeczną Polaków w mieście Giedymina. Polskość świadoma siebie i wykształcona znalazła się za Niemnem i Bugiem, dzisiejsze polskie Wilno to Wilno miejskiego proletariatu - robotników, sprzedawczyń, sprzątaczek. Jeśli ktoś kończy studia i wybija się w inteligencję techniczną, humanistyczną lub twórczą w zasadzie traci język polski, jako pierwszy język i przystaje do jednej z dwóch wiodących w Wilnie nacji - rosyjskiej lub litewskiej. Na tej zasadzie syn znanego przedwojennego malarza Czesława Znamierowskiego stał się litewskim malarzem Znamierauskasem.

Początki drogi życiowej Worotyńskiego przylegają do losu polskiej mniejszości. Mając 17 lat pracuje w fabryce obrabiarek "Zalgiris" w charakterze ucznia - ślusarza. Po ukończeniu szkoły średniej zostaje zatrudniony na stanowisku technika w Instytucie Maszyn Budowlanych. Na początek lat sześćdziesiątych przypada zwrot w jego biografii. Worotyński zaczyna pisać wiersze (w dwóch

językach), rzuca pracę technika i zdaje do Instytutu Pedagogicznego, jednak nie na filologię polską lecz rosyjską. Na temat ówczesnego poziomu nauczania na tych studiach lepiej nie mówić. Czy dlatego Worotyński wybrał filologię rosyjską? Pamiętajmy jednak, że siostra poety Alina była już wtedy polonistką.

Worotyński nie kończy filologii rosyjskiej, nie zostaje nauczycielem rosyjskiego i być może rosyjskim poetą polskiego pochodzenia. Miałby wówczas możliwość publikacji, w przyszłości członkostwo Związku Pisarzy Radzieckich i przynależność do "Lit-fondu". Inaczej mówiąc, zapewniony był i sławę. Skala talentu Worotyńskiego była tej miary, że nie mógł pozostać nie zauważonym. Tylko, że dusza ta po polsku czuła, po polsku się śmiała i płakała, sądzony więc był jej polski los.

W 1963 roku, roku rozpoczęcia studiów, Worotyński żeni się z Łajmute Stonyte: litewskość wkracza w intymne życie poety. Żona, podobnie jak matka, z zawodu jest bibliotekarką. W następnym roku rodzi się im córka Violetta. Dziś ma ona ukończone studia na wydziale romanistyki Instytutu Pedagogicznego.

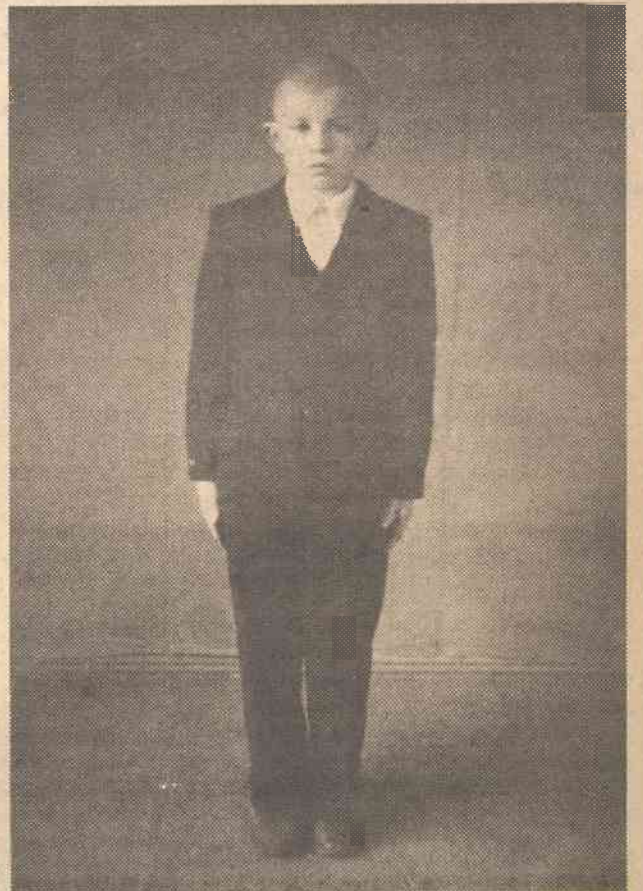
Po rzuceniu studiów Worotyński ima się różnych zawodów, wreszcie w 1970 roku łąduje jako zecer w drukarni "Czerwonego Sztandaru". Był to jedyny pewny patron, a rzecz to wiadoma: jakie są oczekiwania Meccenasa, tacy bywają Wergiliusze. "Czerwony Sztandar" na pewno nie oczekiwał od Worotyńskiego "Eneidy". Historia Wilna i Litwy, patriotyzm radziecki, w sumie tworzyły ową dziwną wiedzę o świecie doskonale wyrażoną chociażby w przewodnikach po mieście Wilnius. A jednak Worotyński jest sobą. Jego liryki drukowane w piśmie są bardzo osobiste, ton melancholii, to znów ironii, przepiękne wiersze krajobrazowe wyraźnie kontrastują z dominującą w piśmie poezją okolicznościową.

Większość najlepszych wierszy Worotyńskiego, które powinny znaleźć się w skarbcu poezji polskiej, za życia poety nie ujrzały światła dziennego. W 1983 roku, przed wyjazdem do Polski, Worotyński pozostawia u swego najlepszego przyjaciela, poety Henryka Mażula, teczkę z napisem "Thanatos". Pierwszy i jedyny jak dotychczas almanach poetów polskich żyjących w Litwie radzieckiej (wydany w Kownie w 1985 roku pt. "Sponad Wiliu cichych fal") zawiera 34 wiersze z tečky liczącej 75 tekstów. Wybrał je po śmierci poety niezawodny Mażul.

x x x

Lata siedemdziesiąte, szczyt twórczości Worotyńskiego, to wiek męski - wiek kłeski. Poeta pozostawia żonę Stonyte, ciąży mu mechaniczna i bezmyślna praca zecera. Przyjaciele starają się jakoś mu pomóc i Worotyński dostaje pracę... gońca w tymże "Czerwonym Sztandarze". A przecież stać go było, aby zasiąść za biurkiem redakcyjnym. Tylko za jaką cenę? Poeta nie raz niósł do drukarni swoje teksty lub zabierał korekty, jako gońca. Jego drugorzędność w pełni teraz odpowiadała statusowi "Polonii wileńskiej", gdy jego twórczość czyniła go spadkobiercą wielkiej tradycji tego miasta umiłowanego przez Muze.

Ita dwuznaczność losu zbliża Worotyńskiego do "przeklętych przez Boga" poetów europejskich - Villona czy Rimbauda. Poeci tacy po drugiej wojnie pojawili się również w Krakowie, Wrocławiu i Warszawie, nigdy jednak Wilno, kochające poezję wysokiego lotu, nie oglądało poete, który wodził rej w knajpach, był gońcem i równocześnie tworzył wyrafinowane liryki. W tym samym czasie powstają coraz bardziej smutne wiersze-wyznania:



POETA POLSKIEGO LOSU

*Kiedy będę odchodzić,
daj mi pęk leśnej trawy.
Albo nie. Lepiej podaj
garść piotunu i prawdy.
A jeśli jej nie ma:
prawdy gorzkiej na świecie,
daj mi rozpacz i niemoc,
wyrzucone na śmietnik.*

(Ze zbioru "Thanatos").

Następuje niespodziewana zmiana w życiu poety. Wychodzący w kraju "miesięcznik pracy twórczej" "Radar" drukuje wiersze Worotyńskiego. Pismo to czytają młodzi o ambicjach twórczych, podają też swoje adresy w celu nawiązania korespondencji. Tą drogą poznaje Worotyński miłośniczkę współczesnej poezji zamieszkałą w Bielsku Białej. Trwa ożywiona wymiana listów. Młoda dziewczyna czyta wiersze przesyłane jej w listach i wreszcie postanawia pojechać do Wilna, aby na miejscu poznać poetę, który wyraźnie ją zafascynował. W 1976 roku Danuta jest już w Wilnie. Nie wiadomo, czy decyzja małżeństwa dojrzała wcześniej, (czy została powzięta pod wpływem gwałtownego uczucia. Danuta pozostaje w Wilnie jako ślubna małżonka Sławomira Worotyńskiego. Czy ze strony dziewczyny było to chwilowe zaurzeczanie, czy też wybór był przemyślany - miał o tym rozsądzić czas. Dla Worotyńskiego była to wielka i ostatnia miłość jego życia. Miłość ta miała wypełnić to straszne przeczucie, owe Fatum, które poeta bez przerwy przyzywał. W cyklu "Thanatos" pisał:

*Do mieszkania przychodzi noc.
Milczcie, gwiazdy,
bo i tak nie wiecie,
co to jest pasja życia!
Do mieszkania przychodzi noc.
Prosiłem przecież - bez szmeru.
Przeszkadzacie mi płonąć!
Pierwsza godzina. Noc.
Druga godzina. Noc.
Trzecia godzina. Śmierć.*

Żona otrzymuje pracę w tymże "Czerwonym Sztandarze" w dalekopisach. W 1977 roku przychodzi na świat syn Marcin i w tym samym roku Danuta powraca do Bielska. Za ledwie rok czasu potrafiła wytrzymać w mieście, które musiało być dla niej bardzo dalekie i obce. Nie mówi się o rozwodzie. Worotyński ma przyjechać do Polski, do żony.

Czy Worotyński zdawał sobie sprawę z tego, czym może stać się dla niego emigracja, nie wyjazd do Polski a właśnie - emigracja? Wilno miało już inne imię i to gorzkie i wieloznaczne imię również i on współtworzył. Będąc nikim zarazem był w Wilnie kimś. Będąc wileńskim Polakiem radzieckiego Wilna był zarazem obywatelem świata i mieszkańcem w wielkim dworze polskiej poezji. Cóż go mogło oczekiwać w Polsce, jeśli nie uczucie jeszcze większego osamotnienia i wykorzystania. To samo uczucie, które zżerało wilanian, jacy musieli opuścić tę ziemię w 1945 i 46 roku i którzy do dziś czują się wygnanymi z Ziemi Obiecanej. A może przeciwnie, może czekało go uznanie, druk w pismach literackich, czekały wydawnictwa, wszak Mickiewicz, wszak Miłosz...

Wydaje się jednak, że Worotyński nie był już w stanie planować sobie kariery literackiej. Po prostu chciał być z Danutą i synkiem. Jak układało się ich pożycie w Wilnie za wcześniej o tym mówić. W cyklu "Thanatos" znajduje się wiersz "Drzewo epizodyczne":

*Czym jest krajobraz bez ciebie?
Martwą naturą.
Czym jest krajobraz z tobą?
Martwą żalobą.
Drzewa idą za suknią twojego cienia,
Mając w zielonych włosach ptaka
Zamiast grzebienia (...)
Biegiesz razem z wieczorem
Do podziemnego miasta. Spieszysz
Cała zadyszana. Chora na astmę
Drzwi otwierasz kamienne
Skrzypią. Jak leśne echo.
Kora do ust przylgnęła.
W oczach otwarta rana
Co z tobą jest, kochana?..
- Nie wiem. Daj mi odetchnąć.*

Zaczyna się ostatni akt dramatu. Worotyński czyni starania o wyjazd. Sprawa, jak to w tamtych czasach, idzie opornie. Wiąże ich jedynie korespondencja. Atmosferę wiecznego oczekiwania na listy dobrze oddaje "Pocztowa ballada":

*Nie poste restante, a raczej post festum,
otworzyć chcę twoją kopertę, jak fetysz.
A obok stojący fiaker Mozarta
przycisnął kopertę i nie jest otwarta.
Nareszcie podarłem z adresem i znaczkiem.
Mam oczy zamknięte i nic nie zobaczę.
Frazesów miłości, co w gorycz spowite,
nie umiem już czytać, a jednak przeczytałem,
I potem długo nie mogę zasnąć
w ciasnym grobowcu pod ciepłą zaspą.*

W Polsce wybucha "Solidarność", wyjazd staje się problematyczny. Poeta ze ściśniętym sercem może jedynie z daleka obserwować kolejne etapy polskiego dramatu. Aż wreszcie latem 1983 roku, po pięciu latach rozłąki,

Worotyński otrzymuje paszport.

Czyni ostatnie przygotowania do wyjazdu. Całą swoją poetyczną schedę: kupę rękopisów i brudnopisów przekazuje Mażulowi. Najważniejsza jest wspomnianateczka z wyborem wierszy o znamienym tytule "Thanatos". W teczce jest 75 tekstów. Dlaczego Worotyński tych wierszy nie zabrał ze sobą? Odnosi się wrażenie, że poeta wiązał tobolek udając się w ostatnią drogę i dlatego najważniejszy tobolek pozostawił w domu. Dziś Henryk Mażul, czując się wykonawcą ostatniej woli przyjaciela, czyni wszystko, aby wiersze te mogły ukazać się w Polsce. Zbiera całą spuściznę Worotyńskiego, przepisuje wiersze drukowane w "Czerwonym Sztandarze". Ma obiecanki od pewnych osób z Warszawy, to znów z Krakowa...

W kwietniu 1983 roku Worotyński dedykuje 12 wierszy ułożonych w cykl "Pieśni o mieście" Lucjanowi Stankiewiczowi, z myślą o skomponowaniu do nich muzyki. Wiersze te również posiada Henryk Mażul.

16 sierpnia 1983 roku Sławomir Worotyński po raz pierwszy w życiu przekracza linię Niemna - Bugu.

x x x

W Bielsku Białej czeka na Worotyńskiego od pięciu lat nie widziana żona i prawie sześciolatek wtedy syn Marcin. Oczekuje nań całkowicie obcy świat. Pamiętam swój stan ducha sprzed lat, trzynastoletniego, gdy musiałem wraz z matką osiedlić się w Łodzi. Worotyński cały był stamtąd, z tej Polski Kresowej, której już nie ma, a która była w nim mocniej niż cokolwiek na świecie, z tego najpiękniejszego miasta w Europie, które było dlań miastem miłości i poniżenia, wzgardy i dumy. Jakże musiał się czuć obco w krajobrazie tak bardzo jednoznacznym, określonym, w tej monotonii świata jaki żył trywialną codziennością małego miasta przemysłowego.

Pozostawała rodzina. Czas jednak zrobił swoje. Worotyński pojmując, że od dosyć dawna był tu niepotrzebny. Nadal kocha żonę i kocha odnalezionego syna. Zachwyca się jego dziecięcą wyobraźnią, pisze dla niego bajki. Żonę poświęca dwa wiersze, które miały wejść w bielski cykl, nazywa je: "Pani Markizie de Sade". Pisze:

*Co się śniło nam i nie śniło
zgasił czas. Wszechwidzący ślepiec
Niekochana krwawiąca miłość
zapomniała na śniegu siebie...*

Zastanawia się, czy nie wracać, do Wilna? Jest jednak zbyt dumny, aby przyznać się do poniesionej klęski. Ta sama duma i poczucie godności nie pozwalają mu beczynniesiedzieć w Bielsku. Niestety, nie miał przyjaciół w wielkich miastach Polski, gdzie mógłby wejść w środowisko znane sobie. Jedzie więc na Rzeszowszczyznę do Debicy, gdzie zamierza osiedlić się w starym domostwie, ale okazuje się, że dom przeznaczony jest do rozbiórki. Worotyński czuje, że jest w pułapce.

To, co przesładowało go od lat, z czym igrał w Wilnie, co stało się imieniem własnym wynoszonych w samotności wierszy - zostało przyzwane. 13 września 1983 roku Worotyński pisze z Debicy do dalekiego Wilna, do Mażula pożegnalny list. Wrzuca go do skrzynki, wraca do domu,

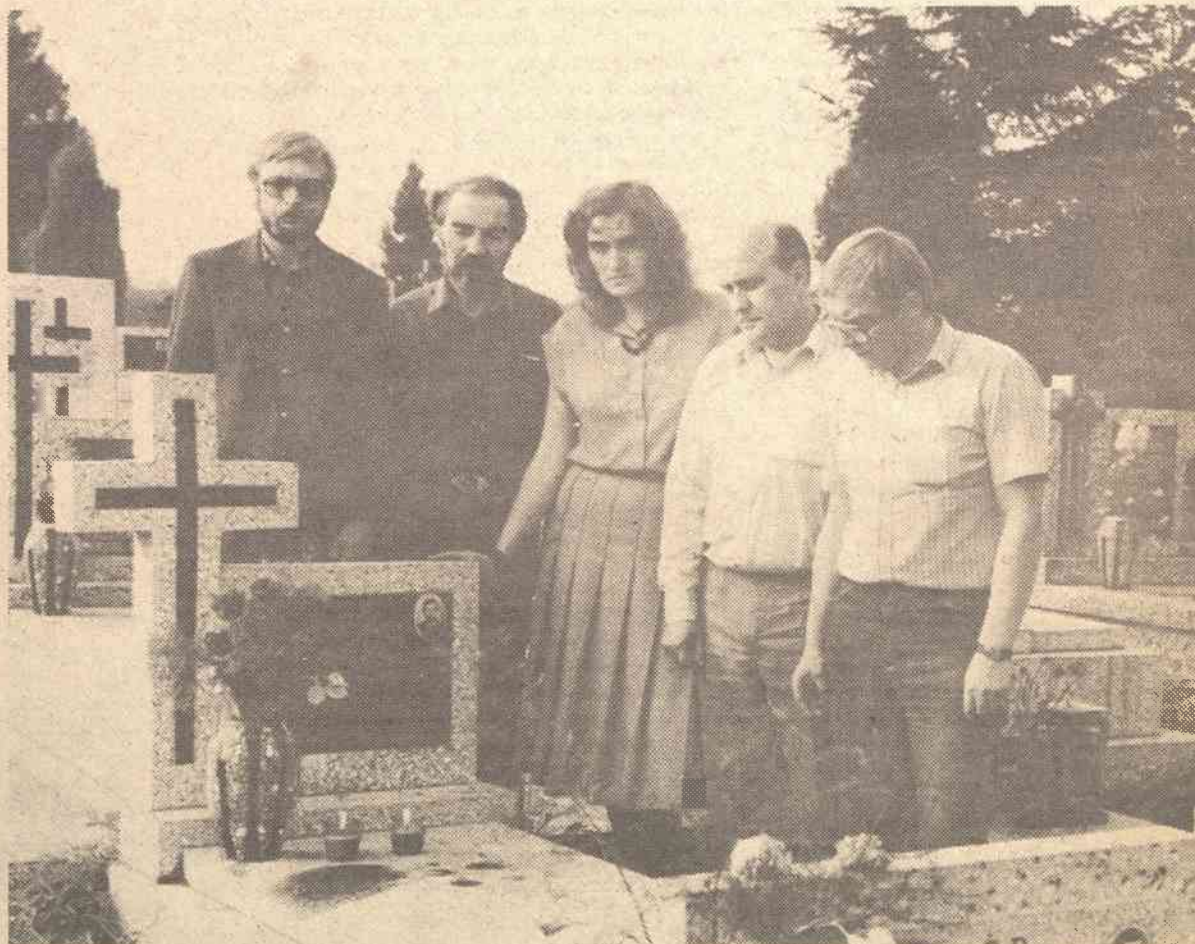
gdzie ma już przygotowaną pętlę ze sznura elektrycznego...

Oto fragmenty listu-spowiedzi, w którym Worotyński nazywa siebie "szalonym przybłądą": "To jest postać mojej Poezji, której oddałem wszystko. Nawet życie. Niech potem ludzie, przestrzeń i czas zaczną banalne piosenki o moim fanatycznym idiotyzmie szalonego przybłądy. O yes, yes!.. Wiem tylko jedno, że prawdziwa poezja nie znosi fałszu i dwulicowości. Nigdy nie byłem człowiekiem praktycznej logiki. Chciałem żyć. Widzieć codziennie światło. Kochać najbliższą kobietę, Rzeźbić szczerze wiersze, ale nie jest sądowno. Trudno. Żegnajcie na zawsze".

Tym razem Opatrzność czuwała nad nieszczęściem tego tak osamotnionego człowieka. Pętla się urywa. Henryk Mażul otrzymuje następny list, datowany - Debica, 15 września 1983 roku: "Drogi Henku! Piszę kilka zdań do Ciebie, bo jeszcze żyję. Niestety. Poprzedni list był tragiczną pomyłką. Nie gniewaj się na moją pośpieszność, ale miałem tyle beznadziejności. Nie było obok żadnego człowieka, z kim mógłbym się podzielić własną rozpaczą, jedynie byłem pochłonięty zdecydowaniem skończyć ze wszystkim. Dwie próby samobójstwa daremne. I drugi raz miałem pecha. Urwał się sznur elektryczny, tym razem w pokoju na Wyzwolenia, a przecież najpierw zawisłem, owijając nim ręce, wytrzymałem. Kiedy wróciłem z poczty, nadał Ci list do Wilna, wypaliłem spokojnie papierosa. Zawisłem tak pięknie pod sufitem i wszystko się zerwało. Nie wiesz, jaka to błogość, kiedy pętla zaciągnie się na szyi i zaciśnie senną arterię. Niby coś miękkiego, łagodnego, podobnego do gęstej mgły otacza całą twoją świadomość. Potem człowiek traci przytomność, ale te kilka chwil są prawdziwym szczęściem. Może dlatego wisielca nazywają tchórzem. Odczułem to dwa razy i jeszcze bym pragnął, ale chcę żyć. Moja obecna sytuacja jest bez wyjścia. Myślałem zamieszkać w Debicy, właśnie dlatego tutaj jestem, ale mi odmówili. Dom, w którym chciałem zostać, będzie lada chwila zburzony. Państwo zabiera plac pod budowę. Nie wiem jeszcze, jak wybrnąć z tego labiryntu. Mam wrócić do Bielska? Co będzie dalej? Czy wrócić do Wilna? Tego najbardziej nie chcę, ale jeśli nie będzie wyjścia. Nie jestem teraz ani tchórzem, ani nieboszczykiem. Jeszcze żyję. Głupio się czuję. Świat przestał istnieć. Czy wytrwam?.. Tydzień zostaje w Debicy, by jakoś przeczekać i przesufladkować swoje myśli. Wybacz za poprzedni, nedorzeczny list, ale Ty mnie zrozumiesz. Sławomir".

Był to ostatni list napisany przez Worotyńskiego. Poeta powraca do Bielska. Mija tydzień i 23 września Sławomir Worotyński, tym razem skutecznie, zaciska pętlę na swej szyi. Żył w Polsce wszystkiego 37 dni. Nie wytrwał w tym świecie, który okazał się dla niego zbyt okrutny. Czym możemy spłacić to życie, jakże polskie i człowiecze zarazem? Skoro nie potrafiliśmy uratować człowieka, winiśmy ocalić od zapomnienia jego wiersze. Kierowany tą intencją napisałem powyższy szkic, nie cofając się przed drastycznością. Ktoś może powiedzieć, że jeszcze za wcześnie, że żyją współuczestnicy dramatu. Milczenie pokrywające osobę i twórczość człowieka, który swojej poezji oddał wszystko, trwa zbyt długo.

Zdecydowanie - zbyt długo...



Poeci wileńscy przy grobie Sławomira Worotyńskiego w Bielsko Białej (u góry); Sławek w wieku szkolnym (na zdjęciu s.4 u dołu).

Fot. Archiwum

ZNAD WILII
22.07 - 04.08 1990 5

MISJA MATKI URSZULI - JULII LEDÓCHOWSKIEJ

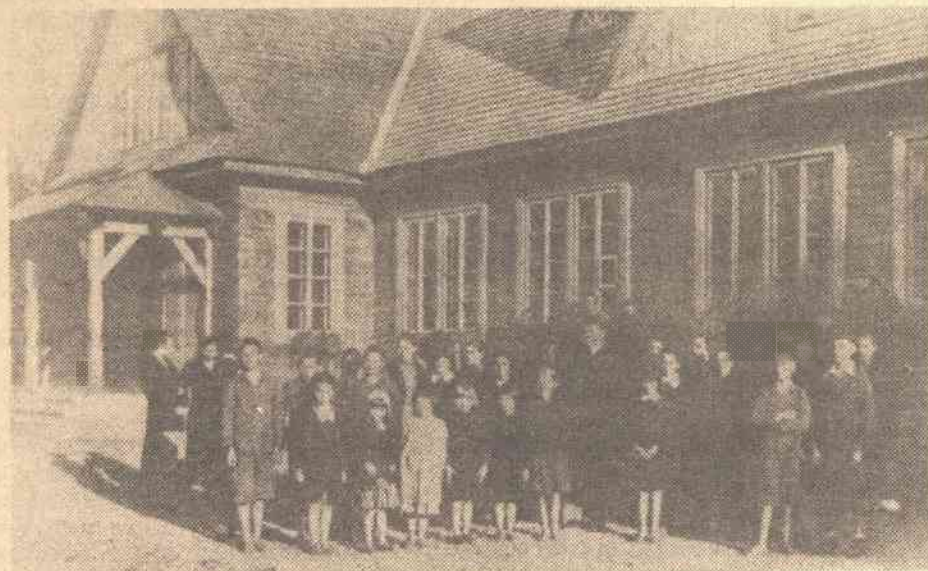


A kiedy przyjdiesz po mnie, Jezu
złoty
cicho, bez żalu
zamknę me powieki na światło
dienne,
by móc tam - na wieki -
wpatrzona w jasność Twojej wieczystej
chwały,
znaleźć po pracy odpoczynek stały.

20 czerwca 1983 roku, podczas swojej II Pielgrzymki do Polski Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał w Poznaniu beatyfikacji matki Urszuli Ledóchowskiej, założycielki i dożgonnej kierowniczkii Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego.

Kim była ta czcigodna niewiasta?

1886 r. wstąpiła z powołania. Cechowała ją z natury niezwykła pokora, równowaga i pogoda duchowa. Umiała w życiu wykazywać męstwo, głęboką ufność w opiekę i pomoc Bożą. Wysłana przez przełożoną sióstr urszulanek w Krakowie do Francji, wróciła stamtąd z dyplomem



Przed szkołą Powszechną w Czarnym Borze, 1938

Urodzona 17 kwietnia 1865 roku w Loosdorf w Austrii Julia Urszula Ledóchowska pochodziła z rodziny, która dała polskiemu społeczeństwu wiele znanych postaci. Do klasztoru w

upoważniającym do nauczania języka francuskiego. W 1904 roku zostaje przełożoną tego klasztoru. W 1907 r. otrzymuje zgodę papieża na objęcie pracy w Rosji. Zakłada tam Sodaliję Mariańską pań, internat dla młodzieży szkolnej. Otwiera gimnazje, kaplice. Jednocześnie działa w Finlandii. W 1914 r. musi opuścić Rosję, działa wtedy w Szwecji, gdzie otwiera m.in. Instytut Języków Obcych, redaguje pisma, wygłasza odczyty.

12 kwietnia 1927 roku Wileńskie Towarzystwo Dobroczynności "Dom Serca Jezusowego" przekazało Zgromadzeniu posiadłości swe w Czarnym Borze. Został tu założony i prowadzony przez siostry Urszulanki zakład opiekuńczo-wychowawczy dla 70 dzieci. Po trzech latach przybywa szkoła dla kierowniczek internatów. Na uroczystości przemówiła krótko m.in. matka Urszula, dziękując władzom za poparcie tej placówki, a uczennice wzywając... "do pracy i do boju, którego orężem ma być miłość..."

Oprócz wiadomości fachowych, jakie dawano przyszłym kierownikom internatów poszerzano ogólny ich światopogląd, wyposażano w wiedzę praktyczną do przyszłego życia. Kierowniczką tej szkoły została siostra Pia Leśniewska. W liście do niej matka Ledóchowska pisała: "Myślę o Was i powierzam opiece Najświętszej Panny Ostrobramskiej. Niech Ona Was strzeże i prowadzi.."

W 1936 roku m. Ledóchowska zleciła Domowi w Czarnym Borze budowę kościoła.

W Wilnie przy ulicy Skopówka otwiera się internat sióstr Urszulanek dla młodzieży, w którym m.in. mieszkały uczennice Państwowej Szkoły Położnych. Matka Urszula otaczała szczerą macierzyńską miłością młodzież i dzieci. Zapoczątkowała i gorliwie prowadziła dzieło apostołskie - Krucjatę Eucharystyczną wśród dzieci. Do Krucjaty należało tu przeszło 75 tysięcy dzieci. Starsze osoby pamiętają zapewne jej masowe pochody ulicami Wilna, jak samą matkę Ledóchowską, która "... nie żyła dla siebie, ale wyłącznie dla Boga i dla innych. Przeszła przez życie jak świetlany meteor. Dokonała dzieł niezwykłych. Jej postawa zmusza nas do realizacji obowiązków nam powierzonych. Z tym samym umiłowaniem ideału i własnego powołania". Słowa te o niej powiedział kard. Luigi Raimondi.

W GŁĄB I Z BLISKA



Bruzdę pod Wilnem Polacy z litewska nazywają waga, a ziemniak wołą zwać z niemiecka kartoflą, tak jak w tytule młodzieńczego utworu Adama Mickiewicza, przypisując do rodzaju żeńskiego. A więc, kartofle sadzi się na wagach i z wag się ją kopie. "Stary koń wagi nie popsui" - tak tutaj brzmi znane przysłowie.

Stalową "jaskółką" kolektywizacji był maly traktor, parę plugów na żelaznym dyslu ledwo ciągnął. Rwał niwę na kawalki. Tak długo dywanem (odtogiem) stała, od czasu, kiedy właściciela majątku usunęto. Naruszona darnina wstawiała dęba i częściowo zawałala się z powrotem. Z wysoko podniesionej nad ciągnikiem rury pykał dym, a pod głośniejsze strzelanie silnika przybierał kształt wyfruwających niebieskawych obwarzanków. Takie to pozostało pierwsze wrażenie od wciśnięcia przymusem na wieś "postępu technicznego".

"Drenne wagi" - skwitował ojciec robotę, co przygasilo mój entuzjazm na widok tego cudu techniki, ale z przyjemnością pociągałem nosem, bo mi wtedy benzyna jeszcze wprost pachniała. Czego nie stwierdzę dziś, bo każde, jakkolwiek rzadkie, wyrwanie się na wieś traktuję dodatkowo jeszcze jako ucieczkę od miejskich uciążliwych spalin.

Sledziłem wtedy aż do wieczora, jak młody chłopak manipulował drążkami. Ale widok zora-nej niwy był jakiś marny. Nawet żadne piactwo nie chciało towarzyszyć takiej orce. Przecież za Gniadukiem naszym zawsze podążało stado wron przez cały zagon - tam i z powrotem, a skiby roli kładły się jedna na drugą, przylegaty ściśle, jakby były z masta.

Byłem tych prac obserwatorem tylko, a pierwsze, co mi ojciec dowierzył, to była czynność

wyznaczania granicy zasianego zbożem pasma. Szło się obok siewcy i czas od czasu wrykało się cienką wiązkę słomy. Te uszeregowane w rząd były orientacyjną wytyczną, jak ścieżka dalej. Później już uczyłem się noszenia snopów podczas żniw. Z początku po jednym, później po dwa i nawet cztery. Stawianie kopek było od noszenia przyjemniejsze, a kiedy już sięgałem, by w specjalny sposób załamany snopem okryć kopkę "czapką", czułem się prawdziwym żniwiarzem.

Teraz zaś patrząc na traktorek chciało się jednego: pojeździć. Nawet okaza się nadarzala. Bo był to wieczór sobotni i traktorzysta zeskoczył z żelaznego siodła (o kabinach nie było wtedy mowy), a widząc małego gapiusza poprosił po rosyjsku, abym mu przyniósł z domu "czernitę". Nie rozumiałem, o co mu chodzi, tłumaczył więc, że wyjściowych spodni nie ma, a te mu się wytarły miejscami aż do białości, więc chciałby kolorystycznie ujednolicić nieco garderobę przed udaniem się na sobotnią wiejską zabawę. Obiecał w zamian "pokatać".

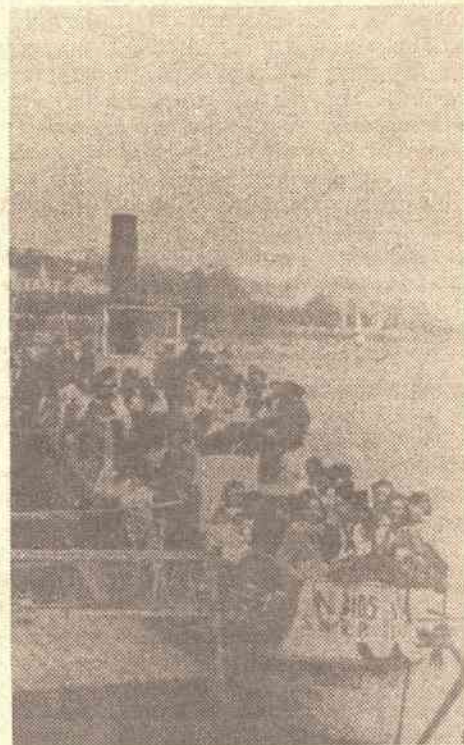
Atramentu na takie cele w domu nie otrzymałem - miano go zaledwie w jednym kałamarzu znikomą ilość. Mój zamiar usłużenia wzięto pod ostrze krytyki, wyperswadowano też chęć przejażdżki na takim "koziółku", co tylko niwę porcha a nie orze i że w ogóle może nie o atrament chodziło. Sądząc, że dziś wszystkie tanie wina w żargonie "czernitami" się zwą, bardzo być może, że wtedy też moi domownicy mieli rację. Animusz wewnętrzny również poznanym później innym traktorzystom, jak się wydaje, potrzebny był bardziej do dobrego samopoczucia kawalera, niż siakie takie zniwelowanie kolorystycznych plam na portkach w dni wiejskich potańcówek.

A na w taki sposób zorany polu najlepiej się przyjęły dmuchawce i osty. Tak było przez kilka dobrych lat. Nowy tryb gospodarowania długo nie sprzyjał wyciąganiu większych profitów z uprawy roli. Gremialnie biorąc, w naszych miejscowościach nie dorównano nigdy ilości zbieranych plonów przez indywidualnych włościan.

Najwspanialsze urodzaje, wesole, dostatnie życie nadal pozostawało tylko w pieśniach i na łamach gazet. A łany zbóż dawały co innego.

Łudzie okoliczni zazwyczaj powtarzali: "Jaki ortaj taki plon". Tu wyjaśnię, że ortaj (po litewsku: artojas) znaczy tyle, co rataj, oracz. Jest to jeszcze jeden zlepek językowy naszego podwileńskiego tygla.

Wojciech RADŁOWSKI



Na przystani rzecznej w Wilnie, 1937

Rozpoczęte przed wielu laty przez matkę Urszulę dzieło trwa. Obecnie Zgromadzenie Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego liczy 1050 sióstr w 95 domach w Polsce, Włoszech, Francji, Kanadzie, Argentynie, Brazylii, Niemczech. Siostry podejmują pracę katechetyczną, nauczycielską, wychowawczą, charytatywną, społeczną, pielęgnarską, parafialną, misyjną.

Tych kilka słów o błogosławionej matce Urszuli-Julii Ledóchowskiej może pozwoli nam mieć nadzieję, że i u nas szerzej się ujawni taka z powołania praca. Jeżeli kogoś zainteresuje kontakt z urszulankami w świecie, prosimy o listy.

Wojciech KARKUT
Fot. Archiwum



Krucjata Eucharystyczna na ulicach Wilna, 1937

Rzeki - Kanały - Źródła - Mosty - Prom - Przystań - Młyny (15)

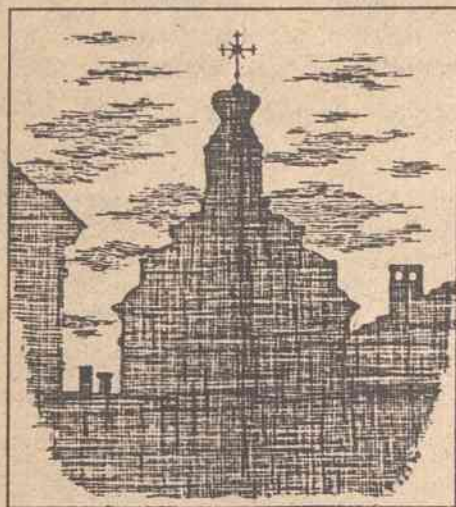
Prom w Wilnie jest tylko jeden na Wilii; służy do utrzymywania komunikacji pomiędzy fortyfikacjami po obu stronach rzeki leżącymi.

Przystań również jest tylko jedna na Łukiszkach, gdzie się zatrzymują płyty z drzewem i szczupłe statki ze zbożem.

Młynów jest dwa: 1) Królewski zbudowany na rozkaz Zygmunta I przez wspomnianego powyżej Hozjusza w pobliżu zamku nad kanałem, i 2) Biskupi nad Wilenką na Zarzeczcu. 3-ci zwany Wojewódzki, był przy ulicy Popławskiej, lecz ten zgorzał w roku 1861 i dotąd nie został odbudowanym.

Ulice - Place - Bruk - Ogrody owocowe i warzywne - Oświetlenie miasta

Większa część ulic wileńskich od czasów Zygmunta Augusta znacznie zmieniła kierunek; wiele przybrało bieg zupełnie inny i



Rys. Stanisław Kaplewski

tylko dawniejszą nazwą wyraża niejaką wspólność z poprzednimi.

Gdzie były dawniej cmentarze, tam dziś rozleżały się piękne ogródki; gdzie zalegały zgłiszczą lub rudery dawnych świątyń, dziś



VILNIANA

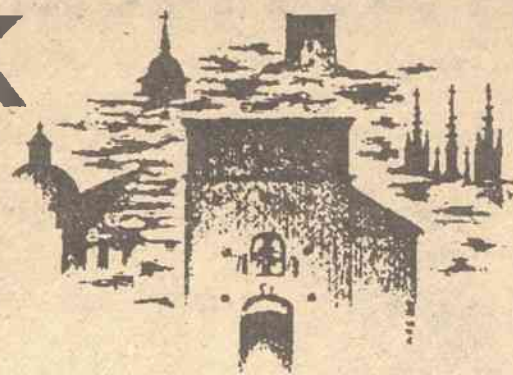
Nasz wileński oddział ZPL przedsięwziął czynnie akcję pod hasłem "Poznaj swoje miasto" i dobrze robi, zaspokajając właściwe zainteresowanie oczekujących. Hasło to, oczywiście, też realizujemy naszą rubryką. Częściowo, co prawda, pośrednio, bo odwołując się zazwyczaj do lektur, po prostu ściągając na nie ewentualnie uwagę zainteresowanych.

Tym razem wypatrzyłam nowo wydaną pozycję monograficzną poświęconą jednemu wyłącznie obiektowi Wilna - bastionowi na Bakszczie. Napisałam "pozycję", mając na względzie jej mały format wydawniczy i małą stosunkowo liczbę stron, bo niespełna 80. Tymczasem jest to praca solidna, ciekawa i bardzo poznawcza. Rzecz tę - "Vilniaus artilerijos bastionas" (Wileński bastion artyleryjski) napisała Irena Juciene, a wydała oficyna "Mintis" w serii "Pomniki kultury Litewskiej SRR" (1990).

A więc, śladami kompetentnej przewodniczki wrócimy nieco do historii zabytku, dziś nam pięknie odrestaurowanego i udostępnionego do zwiedzania. Na ogół znany legendy o bazyliisku i im podobne, właśnie związane ze wzgórzem na Bakszczie. Zresztą można nim i teraz straszyc niegrzeczne dzieci, co niektórzy ponoć dotąd czynią. Prawda historyczna bastionu bądź wileńskiego barbakanu jest faktycznie bardziej prozaiczna. Stanowi bowiem część składową fortyfikacji obronnych naszego grodu. W XVI w., kiedy już dawno niezagrożali Litwie Krzyżacy (rozbił pod Grunwaldem zagrożenia

PRZEWODNIK PO WILNIE

Adam Honory Kirkor



wznoszą się gospody i garkuchnie. Dziś Wilno nie przedstawia nawet danych do odbudowania go w wyobraźni takim, jakim było w wieku XVI. Wiele wprawdzie zmieniło się na lepsze pod względem materialnym: ale strata pomników przeszłości, które czas pożarł, ręka ludzka zwała lub pożary obróciły w perzynę, ta dla dziejów w nich się nie da. Jedyne wąskie, powyginane uliczki kwartału żydowskiego, z wysokimi starożytnymi domami, z podwórzami łączącymi pobliskie ulice, podziemnymi przejściami, tajemniczymi sklepami, z kościołem starożytnym św. Mikołaja, poczerzniętymi od starości ścianami klasztoru franciszkańskiego i wieżą co najgłębsze wieki pamięci, mogą dać niejakie pojęcie o dawnym Wilnie.

W aktach kapituły wileńskiej wspomniane są następne, dziś całkiem nieistniejące ulice: Hanuszyńska, Świętej Trójcy, Kiewliczowska, Przechyścieńska, Sinilińska, Pokrowska, Łotoczek (nie dzisiejszy, lecz inny w pobliżu kościoła Bonifratrów), Cielęca, Japowa, Bystrzycka, Sobacza (dzisiejsza Subocz) i kilka innych. Gdzie owe ulice się znajdowały, oznaczyć dziś trudno. Rozporządzenie względem stawiania domów w linii prostej, wydane zostało już w r. 1536; lecz stare domy pozostawały za linią, a nadto rozporządzenie powyższe nie zawsze ściśle było wykonywane; stąd poszło, że ulice wileńskie tak mocno są nieregularne i wązykowane. Wiadomo, iż w owe czasy zbyt mało miano baczenia na czystość i schludność ulic. W w. XVII magistrat tutejszy wyrobił postanowienie,

szły już skądinąd. Na wschodzie był Iwan Groźny, którego nie sposób było przewidzieć planów i z południa, gdzie zawsze mobilne trwały pułki konne Tatarów. Stąd jakkolwiek w pokojowym czasie, mieszkańcy Wilna zwrócili się do króla Polski i wielkiego księcia Litwy Aleksandra Jagiellończyka o zwolnienie ich z obowiązków wojennych i dokonanie obwarowania miasta. W ten sposób w 1522 r. zbudowano trzy km liczącą, a 6,5 m wysoką ścianę obronną. W XVII w. opasany już teren miał 10 bram, 2 obronne wieże i ów bastion. Obejmowały one teren całego starożytnego miasta. Dopiero po upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kiedy oba państwa trafiły pod zabór, w Wilnie uznano, że zamknięte miasto za murami jest zbyt duszne i nieczyste. Cywilny gubernator J. Fryzel zwrócił się o rozbranie ściany do gubernatora wojskowego, który też na podstawie pisma osobiście podpisanego przez cara Pawła I zburzył je. Zostały, jak wiemy, fragmenty jej z Ostrą Bramą. Sam barbakan w swojej historii pisanej różnie jest nazywany - arsenałem, prochownią, fortecą, kazamatami czy cekhausem - różnie u różnych autorów i w różnych czasach historycznych, zależnie jaką rolę pełnił. Barbakanem go pierwszy nazwał Wacław Studnicki, jest zresztą podobny do słynnego krakowskiego. Analogicznie nazywają go J. Bulota i R. Saluga.

Autorka śledzi bieg budowy i rozbudowy w ogóle w Europie obiektów natury obronnej, przeprowadza pewne analogie z wileńskim. Dzisiejsza jego restauracja trwała praktycznie od 1965 roku z różnym przymierzaniem do jego zastosowania bądź wykorzystania. Pamiętamy, że wchodził też pomysł zaadaptowania go nawet w celu lokalu gastronomicznego, czy rozrywkowego. W pozycji znajdziemy szczegółowy opis prac prowadzonych do otwarcia ostatecznie w nim muzeum historycznej broni, co nastąpiło w 1987 r.

W sumie czytelnik znajdzie w książeczce tej opis dziejów budowy, badań archeologicznych i architektonicznych, przy tym całość zawartości uzupełniono odpowiednio planikami, rysunkami, zdjęciami. Lektura pożyteczna i przyjemna, zwłaszcza podczas urlopu.

(D.)

wskutek którego każdy właściciel domu był obowiązany wywieźć 10 wozów śmieci z miasta. W tymże wieku za najlepsze i najpiękniejsze ulice poczytywane były: Zamkowa, Trocka, Sto-Jańska, Wileńska, Niemiecka, Szklana, Ostra, Końska, Subocz i Spaska. Najwięcej ożywienia miała Zamkowa, Sto-Jańska, z powodu bliskości kolegium, nacechowana była szczególnym charakterem; tłumy studentów i ojcowie Jezuici, snujący się pomiędzy bogatymi sklepami z towarami francuskimi, nadawali jej wyłączną barwę. Ratusz był punktem środkowym ruchu przemysłowego; tu się skupiali wszelkiego rodzaju handlarze i uwijali się pomiędzy mnóstwem kramików, straganów, wozów z towarami i żywnością. Za ratuszem był dom zajezdny gdzie kupcy hurtowi miejcy i przychodnie zalatwiali swe interesa; Rosjanie, Tatarzy, Ormianie, każdy w narodowym ubiorze, prowadzili z ludnością miejscową zamiane, kupowali i sprzedawali tłumnie zgromadzoną towary. Izraelici, wskutek rozporządzenia Władysława IV, mieszkali tylko na ulicach: Niemieckiej, Jatkowej, Żydowskiej i Zmu-

dzkiej. Ulice: Biskupia, Zamkowa, Sto-Jańska, Spaska i Senatorska, zabudowane były świątyniami możnowładców gmachami. Na ulicy Subocz skupiali się kupcy, a na Zarzeczcu duchowieństwo grecko-rosyjskie i rzemieślnicy.

W ogóle dziś w Wilnie 3 prospekty, 42 ulice i 42 zaułki.

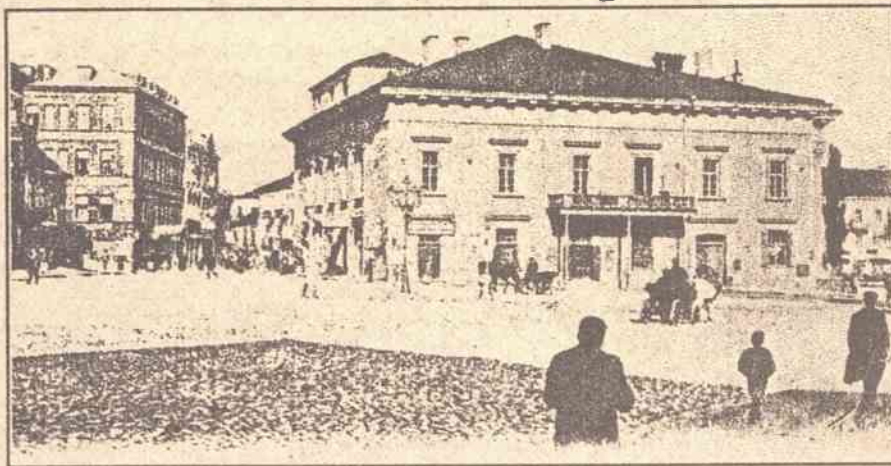
Pierwsze rozporządzenie dotyczące bruku spotykamy w r. 1630, w którym ustanowiono pobór po groszu od wozu wjeżdżającego do miasta na budowę i reparację bruku. Przed upływem przeszłego stulecia, bruk się znajdował tylko na następujących większych ulicach: Zamkowej, Trockiej, Sto-Jańskiej, Wileńskiej, Żydowskiej, Niemieckiej, Szklanej, Rudnickiej, Ostrej, Konnej, Subocz i Spaskiej.

Obecnie wszystkie ulice i zaułki wchodzące w skład samego miasta, a nawet wielka część przedmieści mają bruk z kamieni; prócz tego na głównych ulicach urządzone są po bokach chodniki z drzewa. W ogóle brukowanych ulic jest 33, zaułków 16 i placów 12.

(Cdn.)

KONKURS

To, co było...



Kolejne pytanie brzmi: jaki zakątek jest przedstawiony na starej fotografii? Jaki gmach znajduje się w jej centrum? Czekamy na odpowiedzi i szczególnie na wspomnienia starych wilnian. Listy należy nadsyłać w ciągu miesiąca pod adresem redakcji: "Znad Wilii", 232019 Wilno, skrytka pocztowa 1755 z dopiskiem na kopercie "To, co było...".

Na autorów prawidłowych odpowiedzi czekają nagrody książkowe. Ci, którzy w ciągu roku nadeślą najwięcej trafnych rozwiązań, mają szansę zdobycia nagród specjalnych, w tym wycieczki do Polski.

Tytułem odpowiedzi

U stóp Gór Trzykrzyskiej i Bekieszowej nad Wilenką znajduje się były Ogród Bernardyński. Za czasów pogańskich był rzekomo tu święty gaj, który od roku 1469 stał się własnością Bernardynów. W tym gaju zakonnicy posiadali swój browar i miodosytnię. Po skasowaniu zakonu w 1864 roku ogród przeszedł na własność miasta i po uporządkowaniu oddany został do użytku publicznego. Od roku 1906 w przebudowanym w stylu secesyjnym drewnianym budynku powystawowym mieścił się Teatr Letni, gdzie grano sztuki w języku polskim.

Ten teatr został właśnie przedstawiony w pytaniu konkursowym z nr 13.

Irena KOZŁOWSKA

W carskich czasach park ten nosił nazwę Ogródu Botanicznego. Dopiero w ostatnich latach 30 przywrócono mu nazwę Ogród Bernardyński. W miejscowym teatrze latem przedstawiano sztuki dramatyczne i muzyczne, wystawiano balety i opery. Przed Teatrem Letnim był piękny kwiatnik, nie opodal w małym stawie pływały cztery (!) łabędzie. Po lewej stronie znajdowała się estrada, na której grata niedzielami orkiestra, a na drewnianym pomoście krążyły w tańcu pary... W Ogródku Bernardyńskim było dużo atrakcji. To niegdyś tak lubiane miejsce wypoczynku wilnian obecnie nazywa się Ogród Sereikiszkes.

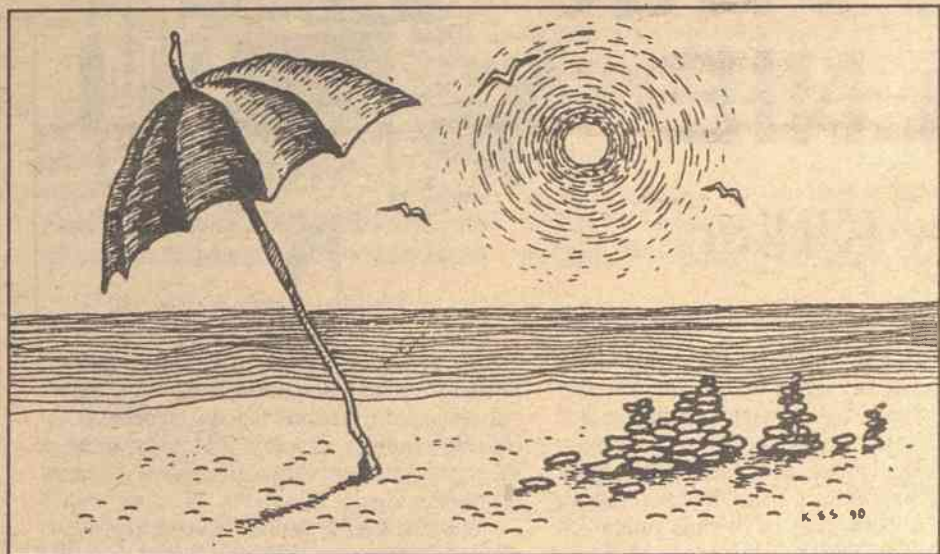
Igor KUNCEWICZ

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie konkursu z nr 13 otrzymują: Irena Kozłowska i Igor Kunczewicz z Wilna.

Książki wysłamy pocztą.

Adres redakcji: 232019 Wilno, skrytka pocztowa 1755, tel. i fax: 65 04 63
Wydawca: Czesław Okińczyc
Redaktor naczelny: Romuald Mieczkowski
Numer podpisano do druku 21 lipca 1990 r.
Skład: Ramunė Januševičiūtė
Druk offsetowy. 2 arkusze druk. Litewskie Przedsiębiorstwo Wydawnicze "Spauda"

ZNAD WILII
22.07 - 04.08 1990 7



Rys. Stanisław Kaplewski

Na pustoszejącej plaży powoli zalegała cisza, którą przerywały leniwe porykiwania powracających z rejsów turystycznych statków i nawoływania ubierających się z ociąganiem wczasowiczów. Ich cienie coraz bardziej się wydłużały. Jedwabniały też

promienie południowego słońca. Od morza ukradkiem skradała się orzeźwiająca świeżość, ale z pogodnego nieba spływało jeszcze błogie ciepło.

Siedziałem przy niej lekko pochylony, by nie przesłaniać słońca. Na leżaku

wyslanym ręcznikami i wsparta na łokciach właśnie kończyła książkę. Od czasu do czasu rzuciła kilka słów, nie oczekując odpowiedzi. Spod białonieźnej czapki wymykały się kasztanowe kosmyki włosów i opadały na równie jasną bluzkę, kontrastującą z brązową opalenizną właścicielki.

Pograżona w lekturze oddalała się ode mnie, by niepostrzeżenie powrócić. Gapilem się na gromadkę dzieci, układających nieopodal z kamyków jakąś dziwną budowlę i nagle doznałem olśnienia - wstałem i zabrałem się także do roboty. Wybierałem najokazalsze glazy: znosiłem je z kamienistej plaży. Potem trąciłem dziewczynę lekko w ramię. Uniósł pytająco głowę.

- Popatrz, do czego jest zdolna czasami przyroda - wskazałem na swe dzieło z kamieni. Wstała. Słońce weszło jej w oczy, więc zrobiła z dłoni daszek i spojrzała we wskazanym kierunku. Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Wyciągnęła rękę w moją stronę.

- Ach, ty, kłamczuchu!.. - zawołała,

rzucając się na mnie. Gubiąc po drodze sandały, biegliśmy ku morzu. Pod stopami czuć było szorstkość kamyków, które przesympując się, grały krótko.

Wstrzymał nas chłód morskiej wody. Już ciepła dziewczęca dłoń dosięgła mojej ręki, gdy mocniejsza fala zwała nas z nóg. Ociekająca wodą przytuliła się do mnie.

- To ty, kochanie, jesteś moją przyrodą - powiedziała.

Jej zielone oczy przesłoniły mi kreskę horyzontu, a na policzku dziewczyny zamigotały krople srebra...

Przed odjazdem wstałem wcześniej. Z zieleni łagodnych gór Krymu słońce wydobywało pogubione perły - radosne miniaturowe domki. Morze, niczym magnes, ciągnęło ku sobie gwarne tłumy. W mozaice kolorowych plam plaży tylko ja jeden mogłem odnaleźć ułożone z ogromnych kamieni imię HANNA.

1974

Romuald Mieczkowski

Od nowa DOLCE VITA NA DACZY

Na wiele kilometrów przed Wilnem, najczęściej z dala od głównych dróg, spotkamy ni to miasteczka, ni to wioski. Tu właśnie rozlokowały się popularne daczki. W Słowniku Języka Polskiego czytamy: są to "podmiejskie wille, domki mieszkańców miast, zwłaszcza w Rosji" (ros.). Przyjrzyjmy się tym zabudowaniom przez ogrodzenie. Krótko, bo złe psy narobią wrzasku, a niejedyn gospodarz proponuje "przechodzić dalej".

Rozkwit tego budownictwa przypadł na lata 70. Była to wówczas jedna z pewniejszych form lokaty kapitału. Budownictwo daczki, a będą się przytrzymywał nazewnictwa, które przyszło ze Wschodu jeszcze w końcu ubiegłego stulecia, miało do niedawna szereg ograniczeń. Wszystkie one miały na celu, by człowiek, broń Boże, nie miał warunków do stałego zamieszkania. Nie wolno więc było instalować w nich ogrzewania i niezbędnych do życia rzeczy. Jednakże "najsprawiedliwsze" prawo niejako samo popychało ludzi, żeby obejść "wredne klauzule". Najbardziej pomyslowi zawsze znajdowali wyjście. Wystarczy przejść przez kilka działek, a jestem pewien - niemało genialnych patentów znalazło by się do zarejestrowania. Jak też można by znaleźć i co innego - brakujące gdzie indziej płyty chodnikowe, stylowe latarnie, mosiężne klamki... To tak na pierwszy rzut oka.

Szkoda, że te inwestycje, które nierzadko pochłonęły oszczędności całego życia, wzorem Antokola czy Zwierzyńca, nie mają szans, aby z czasem wejść do aglomeracji miejskiej, bądź zostać jej satelitami. Brak infrastruktury, elementarnej wyobraźni przy planowaniu, chaos formy, należy przypuszczać, nie pozwolą na to. 90 proc. budynków, a może jeszcze więcej, to upiorne,

kieczowate bryły z sylikatowej cegły. Często do nich dolepią się "renesansowe" balkony i krużganki, "klasyczne" kolumny, "barokowe" zdobienia i jeszcze jakieś nieokreślone bajery. Miłośnicy takiego piękna lubują się w kolorach zdecydowanych, ze szczególnym uwielbieniem błękitu i srebra. Tylko nieliczne drewniane domy stanowią namiastkę daczki w ich wcześniejszym przeznaczeniu. Coraz rzadsze są także na działkach wiejskie chaty, zbudowane z tych pochodzących z rozbiórki. Chaty, ale tylko pozornie takie. Za skromnymi ścianami nieraz krył się przepych ludzi, którzy w tamtych czasach nie mogli go ujawniać. Było tam zawsze ciepło, a szczególnie zimą - w tej części, gdzie się mieści sauna. Świat ekskluzywnych rzeczy, złożonych świeczników i cudników z plastiku dziś się nie musi ukrywać.

Daczki socjalistycznej doby mają wiele cech właściwych tylko sobie. Tu sąsiad musi czuć sąsiada. I czuje. Małe ogródki czynią stały kontakt nieuniknionym. Wynikają z tego i pewne oszczędności - wcale się nie musi włączać Lata z Radiem - olbrzymie stereo panuje nad całym terenem letniskowym. Wieczorami rytmy są bardziej zróżnicowane: trwa decybelowa konkurencja, co ma panować nad daczką - cha-cha czy własne, patriotyczne songi. Coraz rzadziej ktoś zaśpiewa. Chyba że późną nocą i grupowo.

Na niektórych działkach nieustannie wrota praca. I to nie tylko ta ogrodowa, lecz i rzecz można ta, warsztatowa. Mam na myśli także członków spółdzielni i drobnych wytwórców, którzy nie dysponując odpowiednimi warunkami produkcyjnymi w mieście, coraz częściej uruchamiają interes na daczkach. Z dala od ciekawskiego oka. Znaczna część posiadłości jest pusta. Widać od razu, że ich właściciele nie mają urlopu, a ze względu na trudny dojazd (bez samochodu czasem wręcz niemożliwy)

przyjeżdżają rzadko. Jednakże są i tacy, którzy tu mieszkają przez cały sezon, począwszy od wczesnej wiosny, a kończąc jesiennymi przymrozkami. Ludzie woła z trudem, choćby na rowerze dociążyć do pracy w mieście i pozostawać na swoim, bo mając wille... niekiedy nie posiadają "normalnego" własnego domu. Prawo przecież surowo zabraniało mieszkańcom miast budować domy prywatne. Ileż takich domów zrujnowano, gdy ktoś nie potrafił zakamuflować ich przeznaczenia albo nie dał "komu trzeba" godziwej łapówki?

I tu cały paradoks letniskowych osiedli: w czasie kiedy są tak ogromne, długie kolejki na mieszkania, wiele solidnych (pominę ich styl), lecz nie przystosowanych do życia budowli pozostaje bezużyteczna. A niektóre domy na daczach nie są wcale gorsze od *fazendy* Leoncia z *Niewolnicy Isaury* - z tym, że niewolników przy budowie tych pałaców i przy pracy na działkach zastępują sami właściciele skromnych włości i ich najbliżsi krewni.

Praca jest uciążliwa na roli. Podstawowe narzędzie na działce - to motyka i łopata, jakieś urządzenie zmechanizowane,

choćby kosiarkę spotka się rzadko. Zresztą najczęściej nie ma co kosić, trawniki i rośliny dekoracyjne zajmują mało miejsca - wypierają je uprawy bardziej "praktyczne". Najgorzej jest tym, którzy przyjeżdżają popracować w dniach wolnych od pracy. Połamani, zgarbieni i wypompowani z sił, z odciskami na rękach i nogach, wracają późno w niedzielę do miasta, tęskniąc do państwowych posad i foteli, w których i zdrzemnąć się można. Wracają rozmarzeni o pracy, bardziej wymagającej zdolności aktorskich niż zawodowych. W której nikt się nie przemęcza i nie musi nigdzie śpieszyć. Bo i plan teraz traktuje się po ludzku - w dobie humanitarnych reform niczego, prócz autobusów i sklepów, nie trzeba szturmować.

Fizyczne zmęczenie jednak za kilka dni ustępuje. Człowiek ma znowu dość miasta. Zaczyna mu być tęskno do grządkki cebuli i krzaku porzeczek, do powietrza bez spalin. Do sąsiadów, którzy działają na nerwy, ale są znacznie bliżsi niż ci z wielopiętrowego bloku. Tęskni do *dolce vita* na ciasnym, lecz własnym skrawku ziemi.

Tomasz BÓNCZA

